MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 7. WARSZAWA, 16 LUTEGO 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

STRZAŁY W PRÓŻNIĘ

KOŁA rządzące w chwili obecnej państwem objawiają coraz silniejsze zdenerwowanie z powodu trwałej nieufności, niechęci a w najlepszym razie obojętności, czem wszystkiem darzy je z rzadką jednomyślnością całe młode i dorastające pokolenie. Niepoprawnym zdrajcą tych trosk, nurtujących w łonie rządu, jest p. minister oświaty. Już w jesieni wygłaszał on filipiki przeciw młodzieży, której wychowania z racji swego urzędu jest naczelnym szefem, ostatnio zaś w sejmie zapędził się tak daleko, że walkę z narodowem stanowiskiem młodzieży wskazał jako główny punkt programu ministerstwa — niezwykła deklaracja wojenna: ministra wychowania przeciw wychowankom.

Skoro jednak stan wojenny ogłoszony został w manifeście jednej ze stron, należy zgodnie z zasadami taktyki wojskowej rozważyć, czy strona t. zw. napastująca *(agresseur)* trafnie rozeznała swego przeciwnika; rozeznanie nieprzyjaciela trafne i szybkie jest, jak wiadomo, pierwszym warunkiem zwycięstwa.

Otóż wydaje się, że w tym względzie p. Czerwiński popełnił pierwszy błąd. To, na co natrafia wśród młodego pokolenia i co obserwuje w ciągłych i trwałych objawach jego życia, to—jego zdaniem — da się wyczerpująco określić jako czyjeś „wpływy" czyli rzecz zewnętrzna, źródła swe gdzieś poza samą młodzieżą mająca. Gdyby tak było naprawdę, p. minister mógłby istotnie trochę ufniej patrzeć w przyszłość i może nawet miałby słuszność, rozpoczynając hałaśliwie kroki wojenne. Rzeczywistość jest jednak inna. Młode pokolenie polskie oczywiście ulega także wpływom politycznym, nie oddzieliło się od przeszłości, ani nie odgradza chińskim murem od bieżącego życia politycznego—z przeszłości wzięło to, co najlepsze, a wobec teraźniejszości stara się być coraz bardziej czynne, ale pozatem, poza naturalnym procesem kształtowania się, ma ono przedewszystkiem własną duszę, od nikogo nie zapożyczoną, ma umysłowość wytworzoną przez działanie bezpośrednie historji odbudowującego się państwa, ma myśl związaną wprost, bez krępującego wpływu doktryn niewolnej przeszłości, z potrzebami i dążeniami współczesnej ekspansji narodowej, ma spojrzenie własne, obrócone ku wielkim i ambitnym zdaniom przyszłości. Z takiej świadomości zrodzone są ideały i dążenia wspólne, młodego pokolenia polskiego.

Z dwu głównych pocisków, które wysłane zostały w stronę obozu młodych przez wojującą oświatę publiczną, pierwszy nosił uwodzicielski i piękny napis: idea państwowa. Drugi groził, przerażał i gromił: to obskurantyzm, brzmiało ponure oskarżenie, wiek upadku kultury odżywa!

Jeśli chodzi o kwestję pierwszą, to propaganda idei państwowej wśród mas młodzieży, mającej duszę wypełnioną po brzegi ideałem Wielkiej Polski, mogłaby mieć chyba znaczenie wybijania drzwi otwartych, gdyby... rozumienie tej idei przez koła „sanacyjne" nie było takie, jak to z dodawanych interpretacyj wynika. Jest wszak powszechnie wiadomą rzeczą, wielokrotnie powtarzaną, że idea państwowa w mniemaniu sfer dzisiaj oficjalnych jest anarodową po pierwsze i lekceważącą prawo po drugie. Za taką „ideą państwową" młode pokolenie z pewnością nie pójdzie, ponieważ sens jej może być w najleprzym wypadku wynikiem nieporozumienia, a w każdym razie „państwowość" takiej anarodowej oraz nie — prawnej idei jest czysto werbalna. Jeśli ktoś woła „państwo" i nie dodaje „polskie" i gdy krzyczy „państwo" a dodaje „precz z prawem", to słuchacze mogą najwyżej wzruszyć cierpliwie ramionami.

Sprawa obskurantyzmu wymaga również pewnych wyjaśnień. Nie wdając się w szczegóły zawodnych często analogij historycznych, stwierdzić należy, że obskurantyzm odznacza się panowaniem w umysłowości określonej epoki doktryn i formułek martwych, które znajdują już tylko nietwórczych, słabych intelektualnie przetrawiaczy, nie zdolnych do nawiązania kontaktu z bieżącą rzeczywistością. Obecnie naprzykład, wobec wielkich zadań konstrukcyjnych, które stawia przed polityką polską historja, cechy istotnego obskurantyzmu nosi, spętana masońskiemi formułkami, ideologja państwa liberalnego, anarodowego i agnotycznego. Rozporządzając nieciekawymi przedstawicielami, stoi w absolutnem niezrozumieniu przed wielkim procesem gromadzenia się w duszy narodu olbrzymich zasobów moralnych, koniecznych do pchnięcia naprzód rozwoju dziejowego. Religijność nowych pokoleń, gorąca wiara w słuszność dążeń, skłonność do jasnego i wyraźnego formułowania zadań, niechęć do jałowego „pryncypializmu", brak potrzeby podpierania ideału personifikacją — to wszystko składa się na budowę duchową, wobec której „państwowcy" starego obrządku stają ślepi i bezsilni.

I dlatego nie zrozumieją, z jakiej przyczyny młodzież, niezjednana czapką i papką, nie dała się poruszyć ich ideą niby państwową, ani przerazić płachtą obskurantyzmu, i dlatego nie mogą pojąć, że młode pokolenie, któremu wydali walkę, zapatrzone w przyszłość Wielkiej Polski, dostrzega ich tylko jako jedną z przeszkód na jasnej drodze swoich dążeń.

ZDZISŁAW STAHL

RACJONALNE — IRRACJONALNE

(Dokończenie)

II

DOŚĆ jest rozpowszechniona współcześnie tendencja do bezwzględnej polemiki z racjonalizmem, nie zawsze jednak całkowicie słusznej.

N. p. wydaje mi się, że prof. Rybarski w swej dyskusji (w książce p. t. „Naród, jednostka i klasa" 1927) z racjonalizmem indywidualistycznym oświecenia, nie docenia roli dziejowej, jaką podówczas racjonalizm miał do spełnienia. „Niesprawiedliwość w prawie jest zawsze, kiedy go wola powszechna nie stanowi... Kto tylko zna naturę człowieka, przeświadczy się, że w Rzeczypospolitej prawo przez jeden stan robione nie może żadną miarą być zawsze wszystkim w kraju mieszkańcom... równie użyteczne... To jest niepodobieństwem, aby szlachta, miłością osobistą mamiona, nie ściągała zupełnie na siebie praw użytecznych, ani oszczędzała siebie wtenczas, kiedy prawa będą dla kraju uciążliwe..." (Staszic). Wspomijmy to niesłychane zróżnicowanie geograficzno - konstytucyjne krajów *ancien régime*'u, którego absolutyzm oświecony nie zdołał usunąć. W jakiż inny sposób rozbite miały być te wszystkie dziejowe, a nieracjonalne zrosty, przeszkadzające swobodnemu po społecznym organizmie krążeniu wzbierających energij — jeśli nie zapomocą tego środka rozsadzającego, jaki stanowiła racjonalistyczna koncepcja „układu społecznego"? O ileż my dziś w wygodniejszej jesteśmy pozycji, skoro idzie o wgląd w istotę związku społecznego! Krytyka idei winna uwględniać nie tylko jej treść teoretyczną, lecz i jej historyczny sens, jako pewnej reakcji. Chcąc pojąć ideę, trzeba w nią „wskoczyć" jak do tramwaju — równolegle z kierunkiem ruchu...

Racjonalizm w znaczeniu formalnem, czyli skłonność do logizowania jest nieodzowną biologicznie korrekturą irracjonalizmu w znaczeniu skłonności do ulegania intuicjom, instynktom, intencjom gotowym. W zachowaniach się irracjonalnych przejawia się doświadczenie rasy, wobec danych z pokolenia na pokolenie warunków zewnętrznych stałych. Ale cóż się dzieje, kiedy warunki te ulegają, czyto dla osobnika, czyto dla całego gatunku, zmianie? Wtedy potrzebna jest giętkość instynktu, automatyczna jego niewzruszoność równałaby się zgubnej ślepocie. Trzeba wtedy zdolności do przerwania fatalnego następstwa gestów, zdolności do wyprowadzania wniosków z przesłanek, zawierających z jednej strony podany przez instynkt cel biologiczny (aktualny), z drugiej zaś przeszkody lub pomoce zewnętrzne do osiągania tego celu; trzeba słowem zdolności do logizowania. I właśnie pojawienie się takiej władzy u zwierzęcia sprawia, że obdarzamy je mianem chlubnem (pochwalnem)—„inteligentnego" [6]). Racjonalizm rozry-

[6]) Sławny badacz życia owadów, Fabre, opowiada: „Nic trudnego niema dla instynktu, dopóki czynność nie wychodzi poza niewzruszony krąg, wyznaczony zwierzęciu; ale też niema dla instynktu nic łatwego, jeśli czynność ma wyjść poza koleje zwyczajne. Ten sam owad, który nas zdumiewa swą wysoką świadomością, w chwilę później wobec zadania najprostszego, ale obcego jego praktyce zwyczajnej, zdumiewa nas znowu swoją tępotą". I dalej: „w psychice owada rozróżniać należy dwie dziedziny, bardzo odmienne. Jedna to instynkt, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nieświadomy [t. j. nieświadomy celów objektywnych, Fabre nie powiada, że owad działa bez świadomości subjektywnej, jak maszyna], popęd, który przewodniczy najcudowniejszym dokazom jego pomysłowości — lecz instynkt czysty, gdyby był sam, pozostawiałby owada bezbronnym, w wiecznym rozbracie z okolicznościami. — Potrzebny jest jeszcze przewodnik jakiś, gdy idzie o to, żeby odszukiwać, zgadzać się, zrzekać się, wybierać, czynić to, nie czynić tamtego, wyciągać korzyści z tego, co w danej okazji jest do zużytkowania. I owad napewno taki przewodnik posiada i to w stopniu bardzo oczywistym. Jest to druga dziedzina jego psychiki. Tu jest on świadomy i zdolny do doskonalenia się przez doświadczenie. Nie śmiąc zaczątkowej nazwać inteligencją, bo to tytuł zbyt dla niej wzniosły, nazwałbym ją rozeznaniem *(discernement)*". Dalej: „Czynności (instynktowe) w takiej są zależności jedna od drugiej, że wykonanie pierwszej pociąga drugą, chociażby nawet ta druga, ze względu na okoliczności bieżące, stała się nie tylko niewygodną, lecz nawet przeciwną interesom zwierzęcia". Lecz ten automatyzm ulega przerwaniu — u jakichś wyjątkowych jakby szczęśliwie urodzonych osobników. Fabre podaje spostrzeżenie, niesłychanie ciekawe: „U Sphex'a o skrzydłach żółtych — są szczepy wyborowe *(tribus d'élite)*, rody o mocnej głowie, które po kilku zawiedzeniach się, poznały się na złośliwości obserwatora i umieją jej uniknąć. Lecz ci rewolucjoniści, zdolni do postępu, są nieliczni, inni, konserwatyści, opanowani przez stare nawyki i zwyczaje, tworzą większość, tłum". — Pareto — według którego cyt. pow. I. § 157—daje w swem dziele ładny zbiór takich czynności ludzkich „nielogicznych", automatyzmów zwyczajowych, utrzymujących się, pomimo że nie mają żadnego objektywnego sensu.

wa automatyzmy działań — i dopiero następuje kwestja, o jakie to automatyzmy idzie: pożyteczne, czy szkodliwe. Irracjonalizm forytuje automatyzmy — i dopiero następuje kwestja, o jakie idzie automatyzmy: pożyteczne, czy szkodliwe. (*Nb.* w myśl niniejszych konwencyj terminologicznych forytowanie automatyzmów, uznanych (objektywnie) za szkodliwe, będzie to (objektywnie) nie „ir" — lecz „nie—racjonalizm").

Jeśli bywają okoliczności dziejowe, w których pożyteczną może się okazać z jakichś względów przewaga racjonalizmu w psychice zbiorowej — to naodwrót mogą być i takie, w których ludzie nawet bardzo dalecy od ulegania wszelakim bez wyboru tradycyjnym automatyzmom, będą akcentowali przedewszystkiem pożytki, płynące z postaw irracjonalnych. Będzie to n. p. wtedy, gdy się zachwieje mocno obyczaj t. j. gdy ludzie w rozmaitych okolicznościach, zamiast zachowywać się w pewien wypróbowany, jako pożyteczny, a intuicyjnie gotowy sposób, zaczynają wątpić, pytać: „dlaczego właśnie tak a nie inaczej?". — Okazują się „znarowieni". Wtedy to podnosi się, że miano człowieka prawdziwie kulturalnego przysługuje temu tylko, u kogo zachowanie się cywilizowane „weszło w krew", stało się sprawą gotową, nowym automatyzmem [7]). Kiedy w psychice, w ostatnich swoich motywach rewolucyjnej (nazywają. ją, nie wiedzieć dlaczego, „postępową"), za wartościowe etycznie, moralnie piękne, uchodzą tylko zachowania się w każdym wypadku nowe, nietradycyjne, płynące z wolności jednostki, która to wolność ma się rzekomo najlepiej objawiać wtedy, kiedy nieustannie wierzga na bok od kolei historycznych przyzwyczajeń gatunku — to tu, w psychice kulturalnie konserwatywnej (nie mieszać tego z konserwatyzmem klasowo — politycznym!) dostrzega się i ocenia piękno i logikę objektywną rzeczy gotowych i człowieka gotowego, człowieka „jak należy": Człowieka bowiem ogląda się tu na tle dziejowem, jako ogniwo w łańcuchu pokoleń, korzystające z doświadczeń całego łańcucha. Ziarnem zmarnowanem na jałowiznach byłaby, stokrotnie nieraz opłacona, dojrzała wiedza człowieka o życiu, gdyby się przebudzić nie śmiała plonem gotowych, nieomylnych intencyj w sercach pokoleń.

Ale z drugiej strony i „irracjonalizmem" trzeba szafować bardzo ostrożnie. Grozi tu niebezpieczeństwo, że, z jednej strony da się niebezpieczne przytulisko wszelakim automatyzmom o celowości przestarzałej, wszelakim sekciarskim *à la lettre* [8]) które dostęp do ważnych dziedzin życia rozsądnej krytyce zagradzają swemi tabu (pseudo-irracjonalizm „biały") — z drugiej zaś strony pod banderolą „irracjonalizmu" przemycałyby się bezkarnie wszelakie mgliste, bezpostaciowe rojenia i anarchiczne urojenia, każde dzikie „widzimisię" zgłaszałoby swoje pretensje, jako zgóry uprawnione „*sic volo*"... (pseudo-irracjonalizm „czerwony"); nie mówiąc już o umysłowem lenistwie, dla którego „irracjonalizm" bywa doskonałym wykrętem!...

Wewnętrzny wygląd psychiki takiego sekciarza „białego" czy „czerwonego", bynajmniej nie jest „irracjonalistyczny": Tam bynajmniej niema jakiegoś zaniepokojenia o swe pewności, tam niema żadnego dramatu pomiędzy nowością doświadczeń, a wytrwałością uczuć—owszem, tam wszystko, co własne, przedstawia się jako, bez zastrzeżeń, racjonalne, tam celebruje się własną mądrość bez przeszkód, bez żadnej zgoła wątliwości. Takie zamknięte w sobie światy pojęć i urządzeń atakuje z zewnątrz, bez żadnego względu — racjonalista skrajny. Ale jego zwycięstwo albo nieosiągalne, albo niebezpieczne. Nieosiągalne, skoro on bije w przyzwyczajenia historyczne, które, pomimo pewnych zboczeń od właściwej swej celowości objektywnej, w gruncie rzeczy zbyt są żywotne, aby ulec miały propagandzie zwątpienia. Albo też niebezpieczne będzie to zwycięstwo skrajnego racjonalisty, bo on razem z automatyzmami o celowości przestarzałej, razem z instynktami zacofanemi, oślepłemi, gotów nadwyrężyć i zdrową społecznie instynktowość ogółu.

Dopiero irracjonalista przychodzi ze swoją odrobiną soli zwątpienia, aby część zasłanego zasobu tradycyjnych intencyj... zracjonalizować — (paradoks, wynikający z dialektyki pojęć!) — i usunąć to, co już zbyt nieracjonalne, a zostawić i uświęcić to, co dalej służy dobru ogólnemu. On swego bogato zróżnicowanego świata nie strawi ogniem racjonalistycznego rozkładu świata na jakieś naciągane, sztuczne, „jedyne" — ale wypali rozpanoszone nierozumne. Gdzież jednak różnica pomiędzy „dlaczego" destruktywnem a konstruktywnem, niszczącem a leczniczem? Gdzież granica pomiędzy ograniczonym nie-racjonalizmem a anarchicznym ultra-racjonalizmem, gdzież miara godziwa umiarkowanego irracjonalizmu — i umiarkowanego racjonalizmu?!... Najwyższa mądrość, to mądrość miary („takt"). To napewno — ale cóż z tego? Nic, albo niewiele — bo prawie zawsze spór idzie właśnie o samą miarę. Poprzez wszelkie koncepcje aprioryczne, teoretyczne, życie przecieka, jak woda pomiędzy klepkami zeschłej beczki. Więc ostatecznie wszystko rozstrzyga szczęśliwie urodzony człowiek. Ale otóż znowu irracjonalizm...

6. Ci, którzy tak ostro zwalczają „racjonalizm", aczkolwiek nie zawsze dość przezornie, jak właśnie zauważyłem,—w tem jednak mają słuszność, iż przeciwstawiają się pewnemu szczegól-

---

[7]) Podkreśla to zwłaszcza Zygmunt Wasilewski, n. p. w rozprawie o Janie Gw. Pawlikowskim, „Pieśń w górach" Warsz. 1930, str. 118.

Ja pozwolę sobie dodać z mego art. pt. „Nowe życie— nowy pozytywizm" „(Głos Nar." 309/928): „Kto więcej wart, czy ten, co cnotliwym jest lekko, mimowoli, z instynktu — czy ten, co musi ze so ą walczyć dopiero, aby cnotę osiągnąć? Kto więcej wart, czy ten, co tonącego widząc, bez wahania skacze do wody, czy ten, co walcząc przez minutę ze sobą, skacze do wody — za późno? Cnota mierzy się na sytuacjach patetycznych, wymagających decyzji momentalnej i bohaterskiej. Każda sekunda wahania w sytuacji takiej bywa powodem klęski. Więc cnota powinna być instynktownie pewna — gotowa. Człowiek gotowy więcej wart, niż niegotowy. Dżentelmen to człowiek gotowy".

[8]) Socjolog włoski Carli (w książce p. t. „*Équilibre des nations*"), podnosi, że są narody, które mają „wiarę w możliwości" i te rozradzają się, te natomiast, w których rozwinął się ostrożny racjonalizm cofają się ludnościowo i politycznie.— Zgoda, ale z drugiej strony, czyż to „rozradzajcie się" może być brane bezwarunkowo i literalnie? Czy n. p. chorzy małżonkowie powinni się rozradzać? Ktoś jednak zarzuci: Skoro sakralność obowiązku mnożenia się zostanie przełamana, to czy za przykładem n. p. chorych, nie pójdą biedni, za biednymi mniej biedni i t. d., a wkońcu całe społeczeństwo straci ową cenną przecież „wiarę w możliwości". Nie, bo w społeczeństwie skądinąd żywotnem, są motywy uczuciowe właśnie za przysparzaniem potomstwa — a także w miarę okoliczności przyjaznych, w społeczeństwie skądinąd moralnie zdrowem, ostrożność nadmierna w tej sprawie nie rozwinie się, bo pozostanie żywym sens tej niewątpliwie głęboko uzasadnionej precepty moralnej, aby życia seksualnego nie pozbawiać jego objektywnego sensu...

nemu, a niebezpiecznemu w znacznej mierze kształtowi jego.

Raz jeszcze do definicji: w danem powyżej określeniu „racjonalizmu“, jako „skłonności do racjonalizowania“ czyli do odnoszenia rzeczy mniej pewnych do jakiegoś zasobu pewności — wcale nie jest orzeczone, jaką treść mieć będą owe podstawy racjonalizacji. Dlatego była mowa o „racjonalizmie formalnym”. I dlatego możliwe są takie fakty, że jeden i ten sam kierunek ideowy ulega najbardziej przeciwnym w tym względzie ocenom: n. p. katolicyzm oficjalny (jako filozofja) sam siebie ocenia jako umiarkowany racjonalizm [9]); ludzie religijni innego pokroju (n. p. moderniści, u nas Marjan Zdziechowski) zarzucają mu zbytni racjonalizm, sami uważając się za irracjonalistów; ale jeden i drugi kierunek wyśmiewany jest jako nieracjonalny przez ludzi przekonanych o sobie, że jedynie racjonalnie myślą, a którym tamci znowu przyznają wprawdzie miano „racjonalistów“ — ale ze znakiem ujemnym!...

Cała rzecz w tem, na jakiej kto się wspiera ostatecznej podstawie racjonalizacji — gdzie się ostatecznie zawiesza intuicyjną pewnością? N. p. niech idzie o zachowanie się wobec złoczyńcy. Ktoś powie, że „racjonalistyczne“ będzie zachowanie się wobec zbrodniarza uniewinniające go, a to z powodu, że jest on skutkiem koniecznym procesów, które go, razem z jego zbrodniczością, wytworzyły. Taka wobec przestępcy postawa wynikiem jest racjonalizmu teoretycznego, który, dążąc do uniformizacji obrazu świata, zaciera różnicę pomiędzy życiem a materją martwą i przyczynowość czynów ludzkich pojmuje na wzór przyczynowości mechanicznej. Ale z drugiej strony cóż „irracjonalistycznego“ będzie w dowodzeniu, że im bardziej obciążonym przez urodzenie jest zbrodniarz, tem prędzej należy go zlikwidować, bo tem większe jest prawdopodobieństwo, że popełni nową zbrodnię. Jest to dowodzenie nawskroś logiczne, z zasady bezwątpienia oczywistej t. j. ściśle racjonalnej, że należy bronić się przed złoczyńcami. Więc i to jest „racjonalizm“. Różnica obu racjonalizmów w tem, że u podstawy tamtego jest uczucie zdeterminowanej osobowości człowieka, u podstawy tego — instynkt samozachowawczy porządnego człowieka, dla którego stanowczo więcej jest szans być zabitym lub obrabowanym lub mieć zgwałconą kobietę, niż samemu zabić, obrabować i t. d.!... A może też ostateczną racją uczuciową jednego dowodzenia jest współczucie z ofiarą niewinną, a drugiego nie z ofiarą, której się już nie widzi, lecz ze schwytanym zbrodniarzem, którego ma się przed oczyma?...

Dla jednego już „dobro narodu“, czy wogóle dobro jakiegokolwiek ogółu, z którym on czuje się solidarny, będzie już racją dostateczną, będzie miało sens na tyle żywy, iż on poświęci dlań wszystko — dla innego ta racja będzie opatrzona potężnym znakiem zapytania; ten znak może mieć znaczenie tylko teoretyczne, być instrumentem analizy naukowej, ale też może mieć znaczenie całkiem praktyczne. Otóż właśnie wywodzi się nieraz normy obyczajowe z tej, że tak powiem „oczywistości najoczywistszej”, najpowszechniejszej zarazem, jaką jest instynkt samozachowawczy jednostki. Będzie to „racjonalizm” w najściślejszem znaczeniu, nie tylko formalnem, lecz i treściowem, racjonalizm skrajny: Dalej bowiem już niema o co pytać; skoro okaże się, że osobnik zachował się w dany sposób dla zachowania swego bytu i dobrobytu, to już niema żadnego zgoła powodu i sensu pytać dalej „dlaczego” — to już sprawa doskonale zrozumiała...

Jak wiadomo, próbowano nieraz na tej podstawie egoistycznej — a może raczej egotycznej — zbudować naukę o moralności, ale próby te były albo logiczne, a wtedy społecznie destruktywne — albo też usiłując tylko i wyłącznie z interesu osobistego jednostki wywieść wskazanie dla niej, aby była solidarna z interesami społeczności, były naciągane, naiwne, logiczne błędne. Ten właśnie kierunek zwalcza się pod mianem popularnem „racjonalizmu”, bez bliższego określenia.

Niemniej jednak i tu na miejscu są zastrzeżenia. Pytanie: gdzież się kończy egotyzm, gdzie zaczyna altruizm? Bo to dopiero pytanie: gdzież się kończy człowiek, gdzie właściwie peryferja osobowości? Czy troska o potomstwo jest jeszcze egotyzmem, czy już altruizmem? I jeśli ktoś n. p. gorąco pragnie ojczyzny potężnej, bo obawia się o los swego pokolenia, to czyżby to „racjonalistyczne” uzasadnienie patrjotyzmu miało być ujmą i defektem? I czyż nie radował nas prostaczy wigor owego nieświadomego, przyziemnego patrjotyzmu Ślimaków, którzy broniąc zawzięcie swego gniazda, trwali uparcie na „placówkach” narodu? Ta żywiołowa obrona gruntu swego, jako jedynie dla Ślimaka zrozumiałej formy bytu, była przecież na wskroś „racjonalistyczną”, w znaczeniu dopiero co przyjętem.

7. Możnaby przecież tak rozróżnić: korzeń, którego budowa ze względu na biologicznie - utylitarną celowość jest prawie całkiem zrozumiała — jest „racjonalną” postawą rośliny; kwiat ze swoim tajemniczym, misternym wykwintem indywidualnym, nie dającym się bez poważnej reszty zredukować do zadań biologicznie utylitarnych — jej postawą „irracjonalną”. „Racjonalne” oznaczałoby więc dziedzinę konieczności, program życiowy minimalny; „irracjonalne“ — ponad - utylitaryzm, dziedzinę swobody. Więc n. p. bronić zdrowia i życia byłoby „racjonalnie“, bronić honoru kosztem zdrowia i życia „irracjonalnie“. Ale pytanie: jeśli temu człowiekowi wiadomo, iż uległszy biernie zniewadze, będzie ciężko chorował, ciężej niż gdyby go posiekali, tak że mu życie zbrzydnie — to czyż narażająca go na niebezpieczną walkę obrona godności będzie mniej „racjonalną“ od obrony życia, zdrowia i mienia?... Oto więc znowu okazuje się, że bywają wypadki, w których „racjonalne—irracjonalne“ mają sens zamienny. A wogóle znaczenie ich zależy od rodzaju kultury.

W końcu jednak, dla uniknięcia niewygód, zgódźmy się na schemat: 1) Racjonalne (w zachowaniach się ludzkich): to, co służy potrzebom indywidualnym biologiczno - utylitarnym, bytowi i dobrobytowi jednostki w popularnem znaczeniu; 2) (moralny i polityczny) racjonalizm (co do treści): ten pogląd na świat, który się z owej przytoczo-

9) Por. X. Dr. K. Kowalski (w Sprawozd. z VII. Tygodnia Społecznego, Lublin, 1929, str. 29/30): „nie suchotniczy i słaby rozum agnostyków, fideistów, tradycjonalistów, modernistów i pozytywistów, ani też pyszałkowaty i w przecenianiu własnych sił błędny i zdezorjentowany rozum idealistów i racjonalistów, lecz ten rozum ludzki, którego siłę i słabość... najgłębiej poznał i najlepiej określił św. Tomasz z Akwinu, rozum w pewnych granicach bezwzględnie pewny i prawdziwy, lecz [*sic*] rozum analogicznie podobny do nieskończenie doskonałego rozumu Bożego“. Argument Pareta, l. c. I § 1301.

nej właśnie motywacji wywodzi; 3) irracjonalne: to, co służy rozmaitym innym potrzebom, niż określonym już w pojęciu racjonalnego; 4) irracjonalizm (moralny i polityczny): pogląd na świat, wywodzący się z motywacji, przekraczającej potrzeby biologiczno-utylitarne jednostki, jej bytu i dobrobytu w popularnem znaczeniu. Przytem należy pamiętać, że: irracjonalizm co do treści — może mieć charakter formalny — racjonalistyczny (racjonalizm formalny), a to dążąc do jaknajmniejszego ilościowo, jaknajmniej ekstensywnego, ale zato tem bardziej intensywnego zasobu pewności. Wreszcie ważnem będzie wspomnieć o tych kierunkach, ktore same o sobie przekonane są, iż są „racjonalizmem" (co do treści), a to w tem znaczeniu, że wypierają się wszelakiego posądzenia o subjektywizm motywacji, żywiąc ambicje racjonalizowania, nie według uczuć, ale według rzekomo powszechnie oczywistych, aczkolwiek indywidualnie ponad-utylitarnych danych „rozumu". Przekonanie to mylne, albowiem o kształcie poglądu na świat, w świetle nieuprzedzonej analizy logicznej i psychologicznej, decyduje definitywnie ostateczny uczuciowy wybór, gordyjskie cięcie woli [10]).

Tam więc, gdzie spotykamy się z kierunkami ideowemi, popularnie znanemi jako „idealistyczne, spirytualistyczne" i t. p. — tam do czynienia mamy albo z irracjonalizmem wstydliwie zamaskowanym, czyli z pseudoracjonalizmem, albo też z irracjonalizmem otwartym, świadomym swych założeń i metody. Irracjonalista w tem drugiem, ścisłem znaczeniu tem się znamionuje, że nie wstydzi się idej swych konstruować świadomie na podstawie własnego duchowego typu; nie wstydzi się też, jeśli się okaże, że idee te są logicznym aljażem. Irracjonalista bynajmniej nie gardzi logizowaniem, nie jest mu obojętne, czy zdoła sobie wytworzyć konstrukcje intelektualnie ekonomiczne, przejrzyste; co więcej, on logizuje intensywnie — ale właśnie on, szczery w swoim subjektywizmie uczuciowym, zdolen jest bezlitośnie rozbijać wszelakie pseudologizmy, bo jego umysł sam siebie bezlitośnie obnażając z racjonalizacyj błędnych, naciąganych— nie znajduje na dnie tego namułu pustki i otchłani: znajduje swoje intencje nieprzemożone. „Serce me dźwiga w głębinach ląd" — we wspaniałym, typowo irracjonalistycznym porywie obwieścił dziwny poeta. [11]) Rozum irracjonalisty to nie demoniczny „rozum bez czynu i woli"— to rozum dojrzałości, która utraciwszy wiele, staje wkońcu pogodnie i pokornie przed siłami przeznaczenia: przed determizmem swej osobowości, [12]), której chwytając się oburącz, jak mocnej poręczy, dźwiga się ponad rozpacz. „Znośność świata w ostatniej mierze zawisłą jest od jakiejś wiary". Irracjonalizm w ostatecznem, najintymniejszem ujęciu, to moralność bohaterska — metafizycznego ryzyka.

Kraków KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[10]) Ażeby módz kogoś przekonać dyskursywnie — o ileby to nawet możliwe było — o jego moralnych obowiązkach — trzeba już mieć do czynienia z człowiekiem, dla którego wogóle cenny jest sposób myślenia logiczny... Ażeby logiczne wnioski miały sens powszechności, musi przedtem nastąpić zgoda na obowiązującą moralnie siłę wywodu logicznego! Oto już pierwszy wybór. Dlatego też i autor szlachetnie racjonalistycznej (formalny racjonalizm) książki p.t. „Filozofja życia duchowego", Poznań, 1925, prof. W. Rubczyński staje wkońcu bezradnie wobec tego, co nazywa demonizmem: wobec „zła nie dającego się wytłumaczyć ani słabością, ani ciemnotą, a nieugiętego wobec wszelkich prób [dyskursywnych] zjednania na rzecz porządku". O „Filozofji" Żeromski w „Elegjach", wyd. Borowego; por. mój art. p.t. „Filozofja ładu", „Przegl. Współcz". 64 (1927)."

[11]) Tadeusz Miciński.

[12]) Irracjonalistyczną jest postawa M Barrés'a: *„Un nationaliste c'est un Français qui a pris conscience de sa formation. Nationalisme c'est acceptation d'un déterminisme". („Scénes et doctrines du nat.", ed. déf. I, 10).*

ABEL

(RZECZ O BANDROWSKIM JERZYM)

BYWAJĄ i „autorzy nieznani" to znaczy tacy, o których się nie mówi, mało mówi, przy recytowaniu nazwisk głośnych nie wylicza, przeskakuje, zapomina. Rozgłos czy sława dostają się talentom pisarskim często przypadkowo, losu kaprysem, szczęśliwych okoliczności „zderzeniem", trafunkiem losu lub wytrwałą zmową pewnej grupy. Drzemiące w indywidualności pisarskiej moce rozwijają się wtedy w ciepłej temperaturze uznania, rezonansu, superlatywów i sukcesów, albo-też w zimnej atmosferze obojętności, przemilczania, bagatelizacji powoli jałowieją, słabną, mierzchną. Na największy mir i szacunek zasługują tacy zapoznani, którzy przechodząc do porządku dziennego nad niełaskawością giełdy i gildji krytyków, sami sobie żłobiąc drogę do świata czytelniczego, pomimo tego braku nadzoru i kontroli krytycznej, pracują jednakże nadal *sub specie aeternitatis*, w surowej dyscyplinie artystycznej, tak jakby stali na pierwszym froncie w blasku Jupiterów krytycznych, odpowiedzialni za każdą drukowaną stronę, wymagający i surowi względem siebie, po Norwidowemu wzgardliwi dla spółczesności, samotni a mocni.

Jednym z takich nielicznych „sobie śpiewam, nie komu", z takich dumnych i nieugiętych dziwadeł i osobliwości, zepchniętych w peryferję literatury jest Jerzy Bandrowski, rodzony brat tego wydętego przykremi trującemi gazami, pękatego balonu, unoszącego się dziś hałaśliwie nad beletrystyką polską, który to balon zresztą wnet jakieś mocniejsze w osądzie wiatry zrzucą gdzieś jako zmięty zewłok na ściernisko wiecznego zapomnienia.

Będziemy o Jerzym mówić tu szczerze, bez ogródek i bez rękawiczek, tak jak na to ten fenomen siły nerwowej i mózgowej sobie zasłużył. Ponieważ literatura światowa liczy i pyszni się tylu znakomitymi alkoholikami, od Poego do Londona włącznie, przeto ani nam na myśl nie przyjdzie zatajać, że Jerzy długie lata był właściwie stuprocentowym, konsekwentnym alkoholem. Ma za sobą trzydzieści lat wiernej służby Bachusowi, przerwanej objatami, składanemi u stóp Venus Kalipigos, Venus Vulgivaga, Venus Urania. Wypił przez swoje życie może cały *„Auerbachs Keller"* i kochał miłość może za stu innych wymoczków zimnokrwistych. Nie szanował swego zdrowia ani przez jedną godzinę żywota, nie oszczędzał swych sił fizycznych ani przez dziesięć minut, zawsze i systematycznie ostatni schodził z pola „walki", szarymi przedświtami zawsze jeszcze pytał co zrobić z resztą

wieczoru? A jednak? a jednak zachował sobie mózg tak cudownie precyzyjnie funkcjonujący, tak zjawiskowo zdrowy, że przed tym unikatem, przed tą zagadką dla hygjenistów staje się dosłownie ze zdumieniem. Bierze się do ręki naprzykład ostatnią jego książkę z datą: 1929. Tytuł: „Wieś mojej Matki“, niejako *pendant* czy respons na tamtego „Miasto mojej Matki“. Tu u Jerzego doskonałą, klarowną, płynną, rozlewną, pełną powabu i prostoty polszczyzną jakby za jednym rozmachem na papier rzucone reminescencje „sielskie — anielskie“, rzetelne w swej autentyczności, wzruszające swą pulsującą uczyciowością, szczere, jasne, słoneczne..... tam u tamtego, u Juljusza poza, zakłamanie, wysztucznienie, dysonansowy sentymentalizm, *captanda benevolencia* burżuazji, minoderja, kokieterja, szych. „Wieś“ pisał rasowy pisarz, rasowy Polak, wewnętrzny *grand seigneur*, który sobie pozwolił w życiu na puszczenie się, na niby zmarnowanie się wielkopańskie, na rozmienienie się na drobne, na szaleństwa, na warjactwa i nonsensy; napisał sobie ot tak, *pour passer le temps* może i na kolanie, może i w tydzień, ot tak niby dla *plaisiru*, z grymasu typowego u twórczego, szczerego, urodzonego artysty i nic tylko artysty. „Miasto“ pisał, pocąc się i przypatrując sobie w lustrze, urodzony aktor, mima, na chłodno, na lodowato, z premedytacją, z kalkulacją, z gradacją, ze zręcznym doborem afektów i efektów, „zdobywający stolicę”, kokietujący opinję, arriwista, z ducha plebej, w karjerze architypo, model parwenjusza literackiego, który mniejszym kapitałem talentu operując, ale trzeźwo, spokojnie, z ołówkiem w ręku, zaasekurowany praktycznie w dziesięciu Towarzystwach ubezpieczeń reklamy i tantjemy, zdobywa sobie hałaśliwą sławkę piędź po piędzi, jako wzorowy rzemieślnik, dobry kupiec i handlarz swej produkcji, z tych, co to i nie palą i nie piją, tylko piszą i piszą i tyją, a jeżeli mają jakie prawdziwe, serdeczne zgryzoty, to tylko te, że jeszcze niema „Akademji Nieśmiertelnych”, a małomieszczuszek nie może się sprezentować w zielonym fraczku ze złotemi frendzlami.

I w „Mieście“ i we „Wsi“ jest i „*Wahrheit*“ i „*Dichtung*“ i ten sam materjał istotny, faktyczny, ten sam surowiec rzeczywistości a nawet jego metafory, hyperbole, fioritury, arabeski. „Irzek“ daje swoją rodzinę i dwa szczepy Kadenów i Bandrowskich bez kabotyńskiego retuszu z przemile dowcipkującą tkliwością, ironizującą delikatnie serdecznością, ujmująco, podczas gdy „Lolek” ,strateg, programowo udowadnia rodakom, żeśmy „sroce z pod ogona” nie wypadli, ale że właściwie to ja... wieszcz „sanacji“ wywodzę się z patrycjatu, coś jak Wierzynki... Fuggery.

Polecam tym panom krytykom, którzy z takim uporem nadymają pusty balon archibluffisty Kadena-Bandrowskiego, aby wzięli do ręki nieznaną książkę nieznanego autora, który się rzekomo „zmarnował” i „zaprzepaścił”; jestem najgłębiej przekonany, że po lekturze *unisono* choć *pianissimo* orzekną: „Wieś” napisał poeta *natus* prozopoeta, a „Miasto” dobrze dyscyplinowany może prymus... ale... kujon, lizus p. t. Publiki.

Bandrowski Jerzy ma już za sobą całą taczkę, całą paczkę tomów powieściowych. Znają je: publiczność, czytelnie, wypożyczalnie, *profanum vulgus*. Nie wziął ich do ręki jeszcze omal żaden Arystarcha. Bez przewodu sądowego skazali go na wieczyste przemilczenie. Kometa autora „Generała Barcza” zasłoniła im całkowicie małą, ale jasną gwiazdę talentu z konstelacji przeciwnej. Nie wyliczają go nawet wtedy, gdy cytują trzy tuziny beletrystów. Nawet tytuły tych powieści — to *nomina ignota*. Cała trzoda Panurga leci na oślep za efekciarskim szarlatanem i magikiem, ani jeden nie zboczy do tawerny, gdzie wysiadywał ten „*pauvre Lelian*“ tak podobny życiorysowo do Verlaine'a, taki bezradny w swym nierządnym bezładzie i rozstroju artysty pełnej krwi. Bandrowski Jerzy najniesprawiedliwiej spadł, a raczej sam zeszedł schód po schodzie do jakichś suteren literatury, czy też na trzecie jej podwórko. Sam się pozwolił zdegradować, bagatelizując sobie normalną karjerę pisarza pierwszej gildji z chwilą, gdy z obrzydzeniem obserwował, jak tamten *correct en carriere*, w czoła pocie po szczeblach drabiny wspina się i drapie i z triumfem patrzy wdół na tych, co na dole zostali. Bandrowski sam sobie dużo zawinił, że zamiast osiąść w stolicy i zuchwale przyjąć bieg konkurencyjny z polskim Marguerittem (pozującym na André Gide'a) całe lata tułał się po peryferjach i limitrofach prowincjonalnych, wegetował w półcieniach i zaściankach, tomy swe licho odsprzedawał na pniu nieznanym w Metropolis wydławcom, do atmosfery intelektualnej elity stołecznej się nie rwał, a obcowaniem ze „zjadaczami chleba“ wiadomo jak niezbyt twórczą imaginację podniecającymi kontentował. Tego Villona, zawsze ciągnęło coś zawrotnie w dół ku nizinom, a choćby przepaściom, a nigdy nie pchało na wysokie turnie ideowe czy choćby towarzyskie. W tem, co zbyt pospolite i gminne, starał się i umiał odszukiwać i znajdywać jakieś niepospolitości, fajności, smaczki.

Zapomiał przytem do cna ten intelekt subtelny i delikatny, że prawo *mimicry* działa i decyduje i w tych ustosunkowaniach i że dość łatwo ubranie swe przepoić zapachem kuchni, kapusty i tego, co Nietsche nazwał „*Armeleutegeruch*“ (woń małomieszczaństwa) dla każdego artysty zabójczą.

W ten sposób indywidualność pisarska, która mogła się rozwinąć dzięki szczęśliwym losu składom i zbiegom w polskiego może w pewnej mierze Londona, a może nadspodziewanie w Moranda, i rywalizować szczęśliwie z potężnie muskularnym np. Goetlem, cokolwiek, głównie przez swój rezygnacyjny absenteizm, oraz pogardę dla giełdy i jarmarku... intelektualnie jeżeli się nie zdeklasowała, to w każdym razie i z dymensyj jej przynależnych i z ekspansji abdykowała. Jest zapoznany ten Bandrowski tułacz i abnegat, ale nie niezawiniony osobiście w tej swojej autodegradacji i izolacji duchowo nie zbyt świetnej.

Los dał Jerzemu właściwie doskonałe atuty do ręki. W krytycznym historycznym momencie wyrzucił go z małej dzielnicowej parafji na olbrzymi świat. Wielu Galicjanom tak się udało z początkiem wojny wydostać na szerokie wody. Do roku 1914 pielgrzymowali Galilejczycy przeważnie tylko do Widnia, Abbazji, Tyrolu, co śmielszej natury do Paryża i Rzymu a tylko lud wiejski aż za Ocean do Ameryki. Burza wojenna dopiero rozpędziła jeńców i bieżeńców na cztery wiatry na wszystkie świata kontynenty. Najbardziej zadomowionym i krajowo - ekskluzywnym gatunkiem Polaka zaczęło rzucać po Rosji, po Eurazji i Azji. Poznali też i Chiny i Japonję i poznali Sybir, tak ongiś groźny, w którym już od 30 lat jedni Polacy robili duże majątki a z którego inni zyskiwali dla siebie błyszczące karjery na przyszłość. Krako-

wiaków znalazło się tam też omal kilkuset, ale podczas gdy inni spokojnie wegetowali, ratując swą substancję, tylko ten Bandrowski romantyk i *bohemien*, przewędrowawszy przez Omsk, Tomsk, Irkuck, Charbin aż do Władywostoku, tam wziął się do czynu! do organizacji ułanów polskich, wszedł w kontakt ze starymi przyjaciółmi swymi Czechami i działał aktywnie, czynnie na wielką skalę, podobnie jak Zamorski i Dienstl-Dąbrowa w Italji, jednem słowem żył, żył czynie, twórczo, płodnie, ale znów zużywał swe siły, nie oszczędzał się, rozmieniał, walczył, szarpał się. Trzy czwarte energji szło w aktywne życie, jedna czwarta pozostawała w zapasie na późniejszą literacką produkcję. Z pierwszych czasów, z kijowskich są też już emigracyjne jego książki, półpolityczne, polemiczne, zwalczające namiętnie polską orjentację pangermańską lub deskrybujące potworności rewolucyjne gradiuszczego chamstwa, a więc: „W płomieniach", „Syn Dniepru", „Pielgrzym", „Czerwona Rakieta", „Wściekłe Psy", dziś rzeczy zdaje się już wypełzłe, przebrzmiałe, obce, bo aktualnemi wówczas kwestjami i pasjami przeciążone. Reminescencje i suggestje dalekiego Wschodu odżyły w egzotycznych książkach, w „Krwawej Chmurze", „Przez Jasne Wrota", „Lintang", „Szkatułce z Czerwonej Laki"... Wszystko to gdzieś porozrzucane, wyczerpane, zagubione, ani do nabycia w handlu, ani nawet autor nie ma u siebie egzemplarzy; dobrze jeszcze, że choć pamięta tytuły i dobrze, że ocalały takie powieści, jak „Niezwalczone Sztandary" lub „Biały Lew", bo tłumaczone są na czeskie, bo opisują stosunki i „styki" polsko-czeskie i syberyjskie wolnościowe kampanje i anabazy. Ale jeszcze nie koniec na tem. Jest też powieść z żywota lotników, „Siła Serca" (*heros* Stec) i jest powieść z życia „żandarmów" polskich, „Komendant Wilczek", a w robocie na warsztacie opowieść „O pradziadziu, babuni i stryjciu Fredziu" i wiele, wiele innych. *Summa summarum multum sed non multa*. Ot płodność, *fecondité* całkiem jak u Ossendowskiego i to samo zbyt swobodne i nonszalanckie przerzucanie się z jednego świata w drugi, a w coraz to inne środowiska, inne klimaty, inne sztafarze, w inne gatunki ludzi. Przyznajmy atoli zgóry, że gdyby było mniej tomów, byłoby więcej dzieł, skończonych, skomponowanych, stężałych, spoistych i zwartych. Zabójczo szkodliwa w tem tu pisaniu, przelewaniu na papier i narracji lekko snutej *ad infinitum* łatwość, niefrasobliwość, pośpieszność, sprawiające w rezultacie to, że zarysy fizjognomji autorskiej zatarte, a właściwie słowo ostatnie jeszcze niewypowiedziane, indywidualność jeszcze dopiero nadal... obiecująca. Kiedy kończyła się europejska wojna i Jerzy do ojczyzny po tysiącu przepraw, przygód, doznań i doświadczeń powrócił, jak zawsze sentymentalista i ufny w ludzi, zaproponował „Lolkowi", aby idąc wzorem braci Goncourtów, Rosnych, Marguerittów, Leblondów i t. p. wspólnie zaczęli pisać olbrzymio zakrojoną powieściową epopeję wojska polskiego po tej i po tamtej stronie. Autor „Barcza" namyślał się, obliczał, rachował i wreszcie ofertę bratnią odrzucił, wzgardził nią, poszedł sam, poszedł górą, zakwitnął różą no i trzeba przyznać... zwyciężył; wśród zezowatych (ku komunizmowi) jest królem (skandalu), asem Lewitów, Tyrteuszem dyktatury, Xenofontem Legjonów, i gradiuszczego chamstwa w Sztuce pisarskiej pierwszym komandorem. Rozpanoszył się na podparnasiu jako ten muchomor. Każda jego powieść staje się *évenement* dla ulicy i mobu, objektem dyskusyj i użerań się pigmejów z myrmidonami. Skuzynowany z Shylockracją, intelektualnie i duchowo zsemityzowany bez reszty i bez restrykcji, podnoszony i owacjonowany przez zasymilowane żydostwo i zasymilowaną masonerję, awansował na namiastka *risum teneatis*!... Żeromskiego! Dosłownie! Bywają już tacy koneserzy piśmiennictwa, którzy, pozbawieni wszelkiego zmysłu hierarchji, „patosu dystansu", poczucia sumienności i respektu dla przyzwoitości w obyczajach, jednem tchem wymawiają nazwisko Jasnowidzącego nadchodzącą Polskę i równocześnie nazwisko łechtacza pornokratycznego i stylistycznego nie tyle futurysty ile fetorysty.

Pauvre Lelian'a z nikim nikt nie porównuje. Nie ma ten Ezaw w swym dorobku jeszcze żadnej komunistycznej powieści, na niemieckie go nie tłumaczą (za gadzinowy fundusz), bo paszkwilu na polską generalicję nie napisał, po Penklubach się nie pęta, Akademji Nieśmiertelników nie propaguje, Warszawie nie podlizuje, na potomność i na sławę gwiżdże, a sobą dyryguje nieprzewidująco, nieopatrznie, żemanfiszista niepoprawny, idealista, a nie jidealista.

Nie tracimy atoli nadziei, że sie Jerzy Bandrowski opamięta i nieco spęta. Mamy przed sobą jego „Zolojkę", powieść z Pomorza, o dolach i niedolach kaszubskiego, rybackiego szczepu. Jak zawsze sumienny i rzetelny w stosunku do swego tematu, zakopał się tam na dziesięć miesięcy, żył z nimi, zstąpił do głębin ich heroicznego bytowania i dał pierwszą, pomorską powieść. Nie skomponował jej, nie skonstruował, zawcześnie zdjął rusztowanie, zbytnio się folklorem rozentuzjazmował, no to i cokolwiek poronił, też nie wygrał, nie trafił w samo centrum. Mógł dać drugich „Chłopów", ale się zbyt rozgorączkował no i tu i ówdzie zamiast *nonum prematur in annum*, to na kolanie. Zawsze brakuje mu tego, czego Flaubert miał w nadmiarze. Zanadto się śpieszy i nowym tomem cieszy. Ale jest w tej powieści jednak tyle rozrzutnie rzuconego piękna, tyle obserwacji przenikliwej i trafnej, tyle powagi twórczej, tyle serca, tyle tkliwości jakby matczynej, tyle autentycznej troski i zgryzoty, tyle prawdy, tyle samej ziemi, że to pozwala i nakazuje wierzyć i ufać, że z autora „Zolojki" doczekamy się jeszcze wielkiej pociechy. Ten, co to tak pewną sprawę ręką napisał, zmarnować się nie może ni rozpłynąć w tłumie wyrobników i liwerantów wypożyczalnianych powieści. Byle się opamiętał, byle się spętał, byle się na Flauberta zapatrzył, byle na surowości, na górności, na powadze twórczej takiego np. Berenta uczył się, jak pisać powieści się godzi. Twórczość serjo, to nie jest tylko zarobkowanie i rzemiosło, jak nie jest też *divestissement* i bawidamkostwo warszawskich Wicków i Wacków. To jednak zawsze i nadal: misja, posłannictwo, kaznodziejstwo, misjonarstwo, pochodnie wśród nocy, cierpienie, ofiara. Trzeba sobą wstrząsnąć, trzeba się zbiczować, trzeba wytrzymać raz kąpiel w lodzie, zerwać wszystkie pępowiny z poziomością, zamknąć się w opancerzonej samotni i wtedy siąść do biurka we włosiennicy. Ileż to słabszych powieści wypisał znakomity dziś dramaturg italski, zanim aż w sześćdziesiątym roku życia dał swego „Henryka IV": Pirandello. Ileż to tomów dziś już nie do przełknięcia mieli w swym dorob-

ku Stevenson, Hardy, C. Doyle, Heyse, Björnson, Bourget, Sołtykow, Manzoni, Perez Galdos etc. Każdy z nich jest właściwie *homo unius libri*, choć pozostawiali po kopie tomisków. Nigdy nie jest zapóźno na wzięcie się w garść (po nowemu: za mordę) i rzucenie w naród... archidzieła. Nie święci garnki lepią, nie odrazu Wawel zbudowano.

Zaczem, *courage, pauvre Irzek!* Trzeba zrehabilitować dwa nazwiska: tych morowców Kadenów i tych byczych Bandrowiusów. Niech sobie tamta ciemna gwiazda świeci Judosławionom nad krajobrazem czy obrazą Sanacji. Niech jej kadzą Breitery, Peipery, politykiery, frotery, szofery, niech jej Stawary pieją fanfary, a Irzykowski niech z niego robi Mur Jerychoński, który aż dopiero trąbami analizy trzeba zwalić, tam gdzie wystarczyłby jeden wysiłek petomana na ogarka kopcącego zdmuchnięcie. Musi się znaleść jeszcze miejsce i dla drugiego Bandrowskiego.

Ma ten autor nieznany jeden kapitalny pomysł, istne Kolumbowe jajo... dać nam: „polskiego Barleycorna“, analizę alkoholizmu, opilstwa, studjum nałogu, epos przezwyciężenienia pijaństwa, wyzwolenia z jarzma *libido spiritualis*, gehenny upadku i obłędu i powrót do zdrowia, tężyzny, pracy, twórczości. Zna to tak dobrze, jak Turkestan, jak Mongolję. Nic, co jest do picia, nie było mu obce. *Spiritualia non sunt turpia*. Może tylko jeden jedyny Jack London wypił w życiu więcej. Potem, autor „Zolejki“ przeżył *scaron* w Gośnijewie. Teraz zdrów, jak ćwik, boi się wina jak szatan święconej wody, a na widok wódki, zmawia pacierz krótki.

W Polsce dzisiejszej pije się zdrowo, (byle państwu pomódz) omal tak, jak w prohibicyjnej Ameryce, w Stanach Nietrzeźwych. Ten ci jest jedyny, co nam flachowo, kompetentnie, *ex autopsia* może przedstawić groźne następstwa *delirium clemens*, czy *tremens*. Niech się więc nie leni, nie ociąga, niech nie odkłada, niech siada, niech pisze!

Juljusz Kaden Bandrowski obrzydza nam t r z e ź w o ś ć, i trzeźwe wyrachowanie, kombinowanie, kalkulowanie, karjerowiczostwo.

Jerzy Bandrowski, obrzydzić nam może p i j a ń s t w o i jego następstwa, tak podobno i dla poszczególnych obywateli, jako też i dla całego narodu rzekomo zgoła zgubne.

Czekamy!

ADOLF NOWACZYŃSKI

Z CYKLU: „WIERSZE LESNE”

PTAKI I DRZEWA

Teraz ja będę słuchał, a las niech zaśpiewa.
Śpiewaj, wilgo, złocista pieśniarsko gęstwiny!
Teraz ja będę słuchał, a las niech zaśpiewa...
Kuj, dzięciole, spróchniałe drzewa!

Gwiżdż, drozdzie w koralowym raju jarzębiny!
Będę słuchał, niech knieja zaśpiewa natchniona...
Krzycz, krasko, leśna bajko błękitno-zielona!
Szczebioczcie, małe ptaszyny!

Teraz ja będę słuchał, a las niech zaśpiewa...
Szum, dębie, graj mi, lipo pszczołami brzęcząca!
Teraz ja będę słuchał, a las niech zaśpiewa...
Przemówcie, zielone drzewa!

A gdy przyjdzie południe w złotym ogniu słońca
zmilknijcie, gdy las cały od żaru omdlewa.
Wówczas ja wam zaśpiewam tak, jak człowiek śpiewa,
co ma w sercu ptaki i drzewa...

W SŁOŃCU I W CIENIU

Zielone słońce leśne, jak wino zielone piję.
wino zielono-złote,
kojące wszelką tęsknotę...
Jako płomienny alkohol, leśna radość do głowy mi bije...
U podnóża różowego wzgórza
macierzanki woń aż odurza...

Chłodny cień lasu piję, jak z krynicy wodę mrożoną,
ciemno-zieloną wodę,
dającą rzeźwą ochłodę...
I ciało rozpalone zanurzam w tę wodę zieloną.
Uciekam od słońca promieni
do kąpieli z zimnej zieleni...

Błogosławione twe blaski i twe mroki błogosławione,
błogosławione twe słońce
i twe gąszcze rzeźwość dające...
Pić pragnę, lesie, twe blaski, jak wino złoto-zielone
i — jak zimną wodę — twe cienie,
by zagasić palące pragnienie...

POŁUDNIE

Jest taka jedna chwila w południe, gdy słońce,
cały świat blaskiem swoim opromieniające,
wzniesie się — jako Hostja w chwili podniesienia —
najwyżej... jest to chwila słońca i milczenia.

Jak w kościele, w tej wielkiej a promiennej chwili
wszystko się przed złocistą Hostją niebios chyli.
I cicho jest dokoła i w polu i w lesie,
jak w świątyni, gdy kapłan Sakrament podniesie...

W rozgrzanych macierzankach milknie brzęk wesoły..
Przerywają swą pracę miód czerpiące pszczoły.
Rozigrane w słonecznych promieniach motyle
przysiadają na kwiatach bez ruchu na chwilę...

Ptak w pół tonu urywa piosnkę. Cichną kosy.
Dzięcioł kuć zaprzestaje. Milkną drozdów głosy.
Nie gruchają turkawki. I nawet wrzaskliwa
sójka błękitnopióra krzyki swe przerywa.

Wszelki ptak zda się chwilę podniosłą rozumieć.
Nawet drzewa przestają szeleścić i szumieć.
Powiew wiatru wstrzymuje swe najlżejsze tchnienia.
Milkną srebrzyste szepty leśnego strumienia.
Jest taka jedna chwila: słońca i milczenia...

JULJAN EJSMOND

NA WIDOWNI

Plan budowy pomników a ich psychologja. — O konstytucji moralnej Narodu. — Poezja pomnikowa narodu i sztuka. — O tem, czy można dzieje poetyzować administracyjnie i czy każde pokolenie jest poetą. — Nadejdą lepsze czasy.

MIĘDZY wiadomościami o robotach, które czekają w niedalekiej przyszłości zarząd m. Warszawy, spotkałem punkt, który mnie zastanowił i — zmartwił. Poza wydatkami na kanały, chodniki, tramwaje, przewody i t. p. grozi miastu ekspens na wiele pomników. Czytałem nawet całą listę osób, którym trzeba będzie pomnik postawić. Kilkadziesiąt nazwisk! Zastanowiłem się przedewszystkiem nad tem, dlaczego mnie ta pozycja zmartwiła. Przecież nie dlatego, że mi żal kosztów. Nie. Przykrość mi zrobiło traktowanie tej sprawy ze stanowiska gospodarki miejskiej, a później — ten ryczałt...

Uzbierało się długów wdzięczności wobec mężów zasłużonych, trzeba ten dług historyczny kiedyś spłacić. Miasto musi to jakoś sfinansować. Będzie spokój. A druga strona sprawy, praktyczniejsza: magistrat przy pomocy pomników rozstrzygnie pewne zagadnienia, związane z regulacją miasta i dekoracją. Potrzeba na ten cel znacznej liczby pomników, a sama lista ich traktowana jest raczej przykładowo: np. x, y, z.

Istnieje jakaś powojenna bezceremonjalność w obchodzeniu się z psychiką społeczeństwa. O potrzebie kultów i pomnikach tak się mówi, jak o konieczności „szaletów". Jednak, o ile druga z tych potrzeb może być zaspokojona po gospodarsku, to pierwsza z natury swojej należy według mnie do rzędu wolnych decyzyj społeczeństwa. Może się to wydać komuś kwestją błahą, niegodną sporu, bo czyż nie wszystko jedno, kto i kiedy stawia pomniki? A jednak nasuwają się pewne zastrzeżenia.

Mojem zdaniem nie należy stawiać pomników bez porozumienia się w każdym zosobna wypadku z opinją narodową. Nie tak trudno przecież się porozumieć. Dzieła takie powinny być uzależnione od gotowości ogółu składania na ten cel składek i od tego, czy możliwe jest zdobycie pięknego dzieła sztuki. Nic zaś nie przeszkadza państwu, czy zarządom miast stanąć w szeregu instytucyj, popierających materjalnie dane przedsięwzięcie. Nie chciałbym mieć więcej takich zdarzeń, jak niegdyś przed wojną w Galicji. W jednem z większych miast, gdzie byłem przejazdem, zapytałem miejscowego obywatela, jaki to pomnik bieli się w ogrodzie. A ten odpowiedział: „At, jakiś pomnik magistracki"! Przekonałem się, że był to Mickiewicz.

Wszystko, co człowiek tworzy, jest w pewnem znaczeniu pomnikiem. Ale te monumenty, o których tutaj mowa, są pomnikami w dwojakiem znaczeniu: naprzód oznaczają rzecz godną upamiętnienia w historji, a powtóre są pomnikiem pokolenia, które monument stawia. Pomnik, postawiony na ulicy miasta stołecznego, znaczy np.: w r. 1930 tak żywe było poczucie historyczne czynów bohaterskich i zasług Kościuszki, że społeczeństwo dało wyraz swym uczuciom i świadomości dziejowej, w tym oto pomniku. Pomnik wtedy coś wart, kiedy ma znaczenie czynu społecznego, kiedy jest poetyckim wyrazem tęsknoty społeczeństwa do wielkości, realizowanym artystycznie. Jest to dziedzina wnętrzeń uczuciowych narodu, które nie mogą być załatwiane administracyjnie. Największy pan we wszystkiem wyręczyć się może pełnomocnikiem, ale do ślubu i do spraw honorowych sam staje, sam dzieciom musi serce okazać i sam klęknąć na mogile ojców.

Czy wszystko mogą zrobić instytucje? Instytucje są wielką dźwignią nowoczesnego życia, ale zarówno jednostka, jak i naród mają jeszcze coś do spełnienia osobiście, z dopływu uczuć i wzruszeń twórczych. Wiele rzeczy jest już zetatyzowanych i zurbanizowanych, marzy się już oddanie dzieci na całkowite wychowanie instytucjom, ludzie przestają już chodzić do kościoła, bo instytucja radjo ułatwia połączenie z ołtarzem. Co się tyczy myślenia i woli zbiorowej, i na to znajdzie się instytucja w postaci dyktatury. Ona jedna ma prawo interpretowania dziejów przebytych i wytykanie dróg przyszłości. Tu się historja kończy i zaczyna. „Naród idjotów" nie ma nic innego do roboty w zakresie swych potrzeb uczuciowych, jak stawiać pomniki — tej dyktaturze. Wszystkie inne pomniki — to dekoracje ulic.

Ale to nie jest życie społeczne, to jest koszmar ludzi chorych. Prawda jest inna: naród daje instytucjom duszę. Jedyna to „instytucja" organiczna, mająca duszę, pamiętająca i obdarzona życiem uczuciowem. W jej ręku jest zresztą sztuka, która tworzy pomniki i która jest organem wyobraźni narodowej. Nie widzielibyśmy plastycznie historji dawnej, gdyby nie Sztuka, która daje ciało marom przeszłości i sprawia, że przeszłość żyje wśród nas widocznie. Widzimy swoich królów, bo ich nam pokazał Matejko, znamy czasy bajeczne Grecji dzięki Homerowi, żyje w naszej wyobraźni Litwa, bo jej nauczył nas Mickiewicz i t. d. Sztukę ma naród na to, aby wypowiadała jego uczucia.

Pomnik jest coś wart, kiedy jest dziełem sztuki. Wielka sztuka jest owocem wielkich wzruszeń, płynących z obudzenia się życia indywidualnego w stosunku do rzeczywistości obecnej czy historycznej. Wnioski: w atmosferze koszmaru historycznego, kiedy duch narodowy nie obudzony jeszcze w poczuciu swej indywidualności, swych praw, swych ambicyj i swej dumy historycznej, — nie ma warunków na stawianie pomników. W czasach kultu małości, nie sposób udawać tęsknot do wielkości. Skąd się weźmie natchnione dzieło sztuki? Zamawiać je u kamieniarzy na Powązkach?

Trzeba żyć pełnią płuc narodowych; wtedy się żyje historycznie i wtedy echa przeszłości odzywają się w duszy. Wtedy wyniosłości w dziejach są jak stacje nadawcze. Przy naszej antenie, co my możemy usłyszeć i wygrać? Marsza pierwszej brygady w melodji niemieckiej. W czasach, kiedy się zdejmuje z kolumny dawny posąg twórcy pieśni narodowych, aby postawić w tem miejscu symbol aktualności politycznej, niema warunków psychicznych rozkwitu wyobraźni historycznej. Nie jest to czas usposabiający do stawiania pomników.

Po za konstytucją prawno-państwową, która może być taka czy inna, istnieje konstytucja moralna społeczeństwa, a pod nią jeszcze jedna — czysto psychiczna, nawet psycho-fizyczna, która w życiu zbiorowem nie pozwala oddzielać czynów jednostki i instytucyj od psychiki narodu. Nie są to rzeczy ani mistyczne, ani trudne do pojęcia, tylko nas oduczono pod uzurpowanemi rządami od półtora wieku myśleć temi kategorjami. Pierwszą

zasadą konstytucji moralnej jest żyć w zgodzie z prawdą, a tą prawdą jest stan psychiczny. Nie wolno stwarzać faktów ponad swój stan duchowy. Jeśli chodzi o pomniki, nie wolno dlatego, że i pomysł może być fałszywy i wykonanie artystyczne złe. Łatwiej bywa społeczeństwu nieświadomie spłodzić genjalną jednostkę, niż świadomie ją uczcić pomnikiem. Pomnik jest tyle wart, ile włożymy w niego swej duszy. Posąg powinien żyć, a żywy człowiek, który go stawia, powinien być trochę posągowy, aby nie był śmieszny, gdy go pod pomnikiem sfotografują...

Naród, stawiający w stolicy pomniki swojej Sławie i Wielkości, wart jest sam pomnika za ten właśnie czyn poetycki, że tak głęboko poruszony był w swojej świadomości dziejowej. A cóż my — dzisiaj! My będący sami pomnikiem niesławnych lat swoich? My, którzy stukamy w palce, czy być narodem mocarstwowym, czy małym w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością z żydami? Którzy się namyślamy, czy trwać w cywilizacji łacińskiej, czy po bolszewicku wyrzec się nawet chrześcjaństwa? Którzy nawet nie jesteśmy pewni, czy istotnie nie wolno skrytobójczo mordować, kas rozbijać, prawa łamać, kłamać? Którzy tak senną mamy świadomość dziejową, że nie wiemy, skąd się to bierze, że wszystko co dla kraju robimy, nosi piętno bolszewickie? Dajmy trochę luzów budżetowych, a stanie pomnik pana Cara, pogromcy wszelkich konstytucyj prawnych i moralnych. My zaś jak poszechońscy obywatele Szczedryna, pod bacznem okiem szpiclów, przechodząc koło pomnika, wołać będziemy z głębi lojalności: „Zdrowia życzymy waszemu „wosokoprewoschoditelstwu"!

Oto nasz „stan posiadania"—jak mówią w Galicji — posiadania moralnego. A co będzie w przyszłości: czy mamy narzucać listę pomników przyszłemu pokoleniu?

Czasy mają tę właściwość, że się zmieniają. Świadomość dziejowa dojrzewa. Jutro inne pomniki będą się nam marzyły. Nie będą o nich decydowali w radach miejskich jaworowscy pospołu z żydami. Bardzo powątpiewam, czy najbliższe już pokolenie w Polsce przyjmie listę kandydatów na piedestał z ręki masonerji, jak robiły poprzednie w w. XIX. Na dzisiejszych katarynkach „niepodległościowych" wygrywa się w kółko chwałę martyrologiczną dzielnicy b. zaboru rosyjskiego, a ja wątpię, czy opinja narodowa jutro nie zauważy, że w Warszawie brak śladu Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Jagiełły, i czy nie będzie uważała, iż pomnik np. Łukasińskiego nie jest najpilniejszy.

Nowe pokolenia, zrodzone w wolnej Polsce, nie zgodzą się, aby im wiedzę i poczucie historyczne suggerował żyd dziejopis, dla którego Polska zaczyna się w latach z zarania XIX w. Już się wytarły walce w katarynkach tej szkoły historycznej. Mamy już widok na dawne stulecia, odpowiadający głębią perspektyw widokom dalekiej przyszłości.

Mamy już dość Polski w upadku, dość martyrologji, w której koło chciano zakląć nasz wzrok nieszczęściami przytępiony.

Chcemy żyć. Żyć w atmosferze zdrowia i wielkości, równi dostojnością temu, co było niegdyś chwałą naszą. A każdy pomnik tej przeszłości i My żyjący — to dwa punkty, określające linję prostą naszej drogi w wielką, pełną chwały przyszłość.

DIGAMMA

GŁOSY

ROCZNICA ODZYSKANIA MORZA

Dnie 8, 9 i 10 lutego w całem Państwie, w szczególności w dzielnicy zachodniej, poświęcone były uroczystym obchodom dziesięciolecia odzyskania przez Polskę wybrzeża morskiego. Obchody takie są słuszne i celowe: naród z natury swej, jako związek solidarny poprzez pokolenia, musi pogłębiać w sobie świadomość swojej drogi dziejowej, musi rozumieć sens i wartość dzieł, dokonanych w przeszłości i wskazania, wypływające z nich na przyszłość. Musi pamiętać o czynach historycznych i zasługach, i to wcale nie po to jedynie, ażeby hołdem należnym okazać sprawiedliwość zasłużonym: czemże są objawy uznanie ze strony rodaków, wobec szczęścia niezastąpionego, najwyższego, szczęścia spełnionego dzieła? Ale pamięć o zasługach położonych, podobnie jak świadomość błędów popełnionych w przeszłości, konieczne są dla zdrowia duchowego narodu samego, dla zapewnienia normalnego jego rozwoju i niezbaczania z drogi historycznych jego przeznaczeń.

Z tego powodu właśnie krzepiącym jest objawem, że obchody rocznicy odzyskania Pomorza, stawały się — niekiedy wbrew zamiarom organizatorów — uczczeniem wodza narodu polskiego w walce o Bałtyk — Romana Dmowskiego. Wielkość historyczna Dmowskiego niezależna jest od oddźwięku, jaki budzi, tak, jak nie pomniejszą jej też w niczem naiwne, małostkowe usiłowania przemilczenia jego roli dziejowej i jego dzieła. Radość jednak i wiarę w przyszłość Polski budzi fakt, że młode, wchodzące w życie pokolenie, dokładniej i głębiej rozumieć zaczyna historję odbudowania Państwa Polskiego, a wobec tego potrafi też wyprowadzić właściwe wnioski polityczne, jakie z niej wypływają.

Radość z powodu rocznicy odzyskania wybrzeża morskiego mąciło poczucie, że polityka zagraniczna Polski dzisiejszej nie jest, niestety, dalszem urzeczywistnianiem myśli Dmowskiego, sformułowanej w programie terytorjalnym Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu, ale przeciwnie jest cofaniem się, wyrzekaniem się tych nawet uprawnień, które już w Traktacie Wersalskim zostały zdobyte (Umowa likwidacyjna polsko-niemiecka z dn. 31. XI. 1929 r.). Tem bardziej wszakże obchody oswobodzenia ziemi pomorskiej nie były tylko zwykłem „świętem narodowem", okazją do uroczystych akademij i przemówień. Były one budzeniem śpiących, otwieraniem oczu zaślepionym, wskazywały na niebezpieczeństwa, rozniecały ambicję narodową, przypominały wielkie i trudne zadanie dziejowe nad Bałtykiem, jakie jeszcze Polska musi rozwiązać.

WYCHOWANIE NARODOWE

NOWY PROGRAM HISTORJI

MINISTERSTWO oświaty wydało „Projekt programu nauki w 7-klasowych publicznych szkołach powszechnych i w 3 niższych klasach gimnazjum państwowego". Ma to być, jak wiadomo, wstęp do zastępowania niższego gimnazjum przez wyższe oddziały szkoły powszechnej.

„Projekt", drukowany jako rękopis, ma być materjałem do dyskusji wśród fachowych kół pedagogicznych. Pewne jednak jego szczegóły warto omówić przed *forum* opinji publicznej. Do takich należy potraktowanie w programie historji: dziejów wielkiej wojny, odzyskania niepodległości i doby powojennej. Opinja publiczna powinna się tą sprawą zainteresować, ponieważ chodzi tu o sprawę wychowania moralnego, o narzucanie dzieciom poglądów, urobionych specjalnie *ad usum* obecnych władców i które upadną razem z nimi. Społeczeństwo może też zabrać głos w tej sprawie dlatego, że nie potrzeba kompetentnych historyków dla ocenienia rozdziału historji, dotyczącego wydarzeń, które każdy dorosły człowiek ma jeszcze w pamięci.

Chodzi o atmosferę prawdy i szczerości w szkole, w której wychowywać się mają młodzi obywatele wolnej Polski, której nie przyświeca już „stary carski ideał pokornego poddanego", przystosowującego swe poglądy do woli „naczalstwa"

Program podzielony jest na 2 koncentry: 1) kurs oddziałów III i IV szk. powsz. i 2) kurs oddziałów V i VI (= I i II klasy gimnazjum). Interesuje nas zatem zakończenie programu IV i VI oddziału.

Program IV oddziału podzielony jest na 5 rozdziałów: I. Czasy wielkich wojen w Polsce. II. Czasy upadku Polski i próby jej ratunku; III. Czasy walk o wolność. IV. W wolnej Ojczyźnie. V. Historja lokalna. Ograniczymy się do rozdziału III, podając go *in exteso* wraz z przykładami rozwinięcia programu (w nawiasach).

III. Czasy walk o wolność.

1. Pod sztandarem Napoleona. (Jak powstała pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła". Legjony Dąbrowskiego. Jak ks. Józef walczył pod Raszynem. Odwrót z Moskwy. Śmierć ks. Józefa).
2. Powstanie Listopadowe. (Noc listopadowa. Olszynka grochowska. Sowiński na Woli).
3. Powstanie Styczniowe. (Obrazki z walk powstańców. Krzyż Traugutta. Co nam mówią mury Cytadeli).
4. Co znosili Polacy na swojej ziemi pod rządami obcych. (Na Syberji. Obrazki z życia zesłańców. Dzieci Wrześni—walka o pacierz. Wóz Drzymały).
5. Legjony i Józef Piłsudski. Inne formacje wojskowe polskie. Odzyskanie wolności (6 sierpnia 1914. Obrazki z życia Legjonów i innych formacyj polskich. Jak odzyskaliśmy niepodległość? 11 listopada 1918 r. Na czem polega niepodległość?)

Chodzi tu oczywiście o przedstawienie łańcucha walk zbrojnych o niepodległość, którego ogniwem końcowem — doprowadzającem rzekomo do upragnionego celu — ma się stać dla młodzieży „czyn zbrojny" Piłsudskiego.

Poza fałszywem oświetleniem tego ostatniego faktu, umożliwionem przez całkowite przemilczenie wielkiej wojny [1]), nasuwa się uwaga, że twórcy programu uwzględnili tu prawie wyłącznie wypadki, rozgrywające się na terenie b. zaboru rosyjskiego, co czyni program mniej blizkim dla dzieci 2 innych dzielnic. Przykładem tego dzielnicowego stanowiska jest także wymienienie daty 11 listopada 1918 r., mającej znaczenie lokalne, jako daty odzyskania niepodległości całej Polski, choć bliższe dzieciom różnych dzielnic byłyby wspomnienia, dotyczące usuwania w różnych momentach zaborców z ich najbliższych okolic. Wreszcie, nawet na tym elementarnym poziomie, nie należałoby sprowadzać dziejów okresu niewoli wyłącznie do wysiłków militarnych, pamiętając, że między celami nauczania historji wymieniło się na początku: „wzbudzenie poszanowania pracy ludzkiej, zbiorowej i indywidualnej". Pojęcie podniesienia się narodu z upadku powinno się wiązać w umyśle dzieci z pojęciem wytrwałego wysiłku na wszelkich polach, który to wysiłek trwać ma w daslzym ciągu w niepodległem państwie (cel: „wyrobienie poczucia związku teraźniejsześci z przeszłością", „rozbudzenie poczucia odpowiedzialności obywatelskiej").

W oddziale VI (II kl.) w zakończeniu 2 koncentru, nietyle „czyn zbrojny", ile raczej „twórca i budowniczy naszej Polski" ma być finałem historji. Rozdział III. Czasy niewoli i walk o wolność, kończy się na roku 1914, a dopiero ostatni IV. Odbudowa naszej Polski (1914 — 1929), zawiera punkty dotyczące Józefa Piłsudskiego:

1. Sprawa polska na tle wojny światowej. Legjony polskie i Józef Piłsudski. 6 sierpnia 1914 r. Inne formacje wojskowe polskie. Wskrzeszenie Polski 11 listopada 1918 r. *(sic!)* (Związki strzeleckie przed wojną i myśl o odzyskaniu niepodległości. Życie Józefa Piłsudskiego do czasów wojny. Wybuch wojny. Wymarsz kadrówki 6 sierpnia 1914 r. Utworzenie Legjonów i ich walki. Walki Polaków na ziemiach obcych, w innych formacjach polskich. Niemcy, Austrja i Rosja i ich stosunek do Polaków w czasie wojny. Uwięzienie Piłsudskiego w Magdeburgu. Front wschodni i zachodni w wojnie światowej. Wskrzeszenie Polski 11-go listopada 1918 r. Koniec wojny—Kongres Wersalski).
2. Obrona Polski Odrodzonej. Konstytucja 17 marca 1921 r. Rozwój potęgi Polski współczesnej. (Położenie Polski w chwili odzyskania niepodległości. Piłsudski Naczelnikiem Państwa i Wodzem Naczelnym. Obrona Lwowa. Najazd rosyjski. Obrona Polski w 1920 r. Stopniowy wzrost gospodarczy Polski i wzrost znaczenia politycznego w Europie. Liga Narodów i jej hasła. „Wystawa Poznańska" i jej naczenie).

Dla uzupełnienia dodać trzeba, że we wskazówkach metodycznych wyliczono. jako przykłady: „dokumentów, przemawiających do uczucia i kształcących świadomość obywatelską": Testament Zygmunta Augusta, Przysięga Kościuszki, Odezwa Piłsudskiego do żołnierzy legjonistów z 5. VIII. 1915 r.

We wspomnianych wskazówkach metodycznych, spotykamy zresztą pozatem zupełnie słuszne poglądy. Naprzykład kilkakrotnie położono nacisk na prawdę historyczną, której nie wolno przeinaczać nawet w stosunku do najmłodszych dzieci. Dalej zaleca się, żeby zagadnienie wysuwania na plan pierwszy masy społecznej, czy postaci było rozstrzygane jednolicie. „Należy te dwie dziedziny równolegle uwzględniać, w jednej i drugiej istnieje niebezpieczeństwo przesady".

Bardzo doniosła jest wskazówka następująca: „Dzieci rozpoczynające naukę historji, lubią wprowadzać ocenę wartości moralnej danego zjawiska. Rozważaniami tego rodzaju nauczyciel winien kierować z wielkim taktem i umiarem, nie narzucając zgóry gotowego sądu i unikając wszelkiej

---

[1]) Celem nauczania historji, jest według „projektu"— w zakresie poznawczym — przedewszystkiem: „utrwalenie w umyśle uczniów najważniejszych obrazów z dziejów ojczystych, łącznie z wybranemi momentami z historji".

jednostronności i tendencyjności, ale dbając jednocześnie o należyte rozbudzenie i kształtowanie poczucia moralnego". — Wyobraźmy sobie sytuację nauczyciela historji, który ma „z taktem i umiarem" kierować rozważaniami o osobie Józefa Piłsudskiego i o wypadkach z maja 1926 r., stosując się do powyższych wskazań, a zarazem nie chcąc ściągnąć na siebie zarzutu „stanowiska antypaństwowego" [2]. I wyobraźmy sobie dzieci, wyczuwające rychło, że w szkole obowiązuje inna prawda, niż w domu, — traktujące to bądź z cynicznym oportunizmem, bądź z tłumioną goryczą i upokorzeniem, rzucającem cień na ich pogodę wewnętrzną — albo też buntujące się przeciwko fałszowi i dochodzące do kolizyj z władzą szkolną. Postawmy się też w położenie rodziców, których dzieci zapytają, jak mają postępować.

Jeżeli to wszystko naprawdę żywo sobie uprzytomnimy, to nabierzemy przekonania, że rozważany program historji, to nie to samo, co jakiś program matematyki, czy geografji, gdzie głos decydujący mają fachowcy przedmiotu i dydaktycy, gdzie chodzi tylko o mniejsze, lub większe przeciążenie uczniów, mniejszy lub większy stopień trudności. Nie! — tu chodzi o sprawę prawości w wychowaniu naszych dzieci. Głos więc mają także rodzice, społeczeństwo. Nie chcemy być zmuszani do prostowania wiadomości historycznych, udzielanych przez szkołę, chcemy, żeby szkoła wychowywała nasze dzieci zgodnie z nami. Jeżeli jednak czynniki rządowe ulegną złudzeniu, że przez szkołę zdołają urobić w młodzieży poglądy niezgodne z przekonaniami znacznej większości społeczeństwa i przeinaczyć w ich świadomości fakty niedawnej przeszłości, to rychło będą musiały się przekonać, że jedynym skutkiem będzie obniżenie autorytetu moralnego szkoły, co będzie ogólną stratą narodową. Zasada „*cuius regio, eius religio*" nie da się dziś stosować — ani też zasada „*cuius regio, eius veritas!*"

S. Ż.

2 Wśród celów nauczania historji, wymieniono urabianie poczucia przynależności do społeczeństwa, narodu a zwłaszcza państwa, tudzież miłości Ojczyzny i ludzkości.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W dn. 8 b. m. w sali Uniw. Warszawskiego odbyła się uroczysta akademja ku czci ś. p. Stanisława Bądzyńskiego, znakomitego uczonego przyrodnika w dziedzinie chemji fizjologicznej. Odczyt o życiu i pracach ś. p. Bądzyńskiego wygłosił prof. Un. poznańskiego Stefan Dąbrowski. Jako uczeń i przyjaciel, znający zbliska tą niepospolitą postać, mówił o mistrzu swoim z miłością i gruntowną znajomością prac, dróg i celów naukowych znakomitego uczonego. Szczegółowy życiorys, zawierający ciekawe dzieje studjów młodego uczonego na uniwersytetach zagranicznych, połączył prelegent z charakterystyką pięknej duszy człowieka, zamyślonego o zagadnieniach życia i śmierci, oraz patrjoty, stojącego czujnie na straży interesów narodu. W imieniu uniw. Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie ś. p. Bądzyński przed wojną był profesorem, przemawiał prof. Sieradzki. Hołd gorący złożył też przedstawiciel najmłodszych uczniów warszawskich. Uroczystość ukończyła się odsłonięciem tablicy pamiątkowej w sali laboratoryjnej, gdzie pracował ś. p. Bądzyński.

*

Zmarła w Warszawie ś. p. Janina z Bobińskich Żyrkiewiczowa, znana jako pisarka pod pseudonimem Haliny Krzemienieckiej. Ur. 1865 r. na Ukrainie, należała w życiu i dziełach swoich do entuzjastek, podnoszących ton i skalę życia idealizmem poglądów i dążeń, opartym na wierze w moc twórczą ducha. Wydała zbiór nowel i szereg powieści. O ostatniej powieści, świeżo wydanej „Lecą Wichry" pisaliśmy w Nr. 4 „Myśli Narodowej", podnosząc jej zalety literackie. Schodzi do grobu postać promienna, pozostawiając po sobie światłość w pamięci tych, którzy osobiście lub przez książki z nią się zetknęli.

RUCH WYDAWNICZY

Znany chlubnie w krytyce i nauce o literaturze polonista, Stanisław Adamczewski napisał dzieło o twórczości Stefana Żeromskiego. Nosi ono tytuł: „Serce nienasycone. Książka o Żeromskim". Wydał tę książkę A. Wegner w Poznaniu (Wydawnictwo Polskie), przyozdobiwszy ośmiu ilustracjami, w tem portret Żeromskiego (z początku stulecia). Dzieło liczy stron 437 dużej ósemki. Jest to rozbiór wartości literackich i właściwości psycho-estetycznych dzieł pisarza, z pominięciem jego ideowości społecznej i pierwiastków biograficznych. Autor zapowiada w przedmowie, że „ani adwokatować pisarzowi nie będzie, ani tem mniej się z nim pieniać. Chce go tylko w jego pismach wielostronnie ukazać. Chce zbadać, jaki to twórczy materjał przeobraża się w nim na artystyczne walory i w jaki sposób się przeobraża... Więc raczej opis zjawiska, niźli właściwa krytyka. Raczej inwentaryzacja motywów i dochodzenie twórczej mechaniki, niźli poszukiwanie związków biograficznych i literackich parantel". Cenne dzieło Adamczewskiego zasługuje na obszerniejsze omówienie.

*

Świeżo wydana książka Piotra Benoit „Pod znakiem centaura", w przekładzie Stelli Olgierd (nakładem Instytutu Wydawniczego „Sfinks") zawiera pięknie opowiedziane wrażenia autora „Atlantydy" z podróży wokoło i po Australji. Oryginalną dla naszych stosunków cechą książki jest to, że Benoit, mimo że z pochodzenia jest żydem, jednak w oddaniu każdego ze swych wrażeń podróżniczych z naciskiem podkreśla swe stanowisko francuskie. W Australji i na wyspach mórz, które zwiedził, ścierały się z sobą przez długie lata wpływy francuskie i angielskie w sferze interesów handlowych i politycznych. Dużo zdobyczy zawdzięcza Anglja czy Francja, umiejętnej propagandzie, zręczności dyplomatycznej i pracy swych rodaków. Otóż wszędzie, czy to w zamiłowaniu do egzotycznej literatury francuskiej, twórczości Lotiego, czy w opisie kolonjalnych francuskich placówek przemysłu i handlu, czy w innych dziedzinach życia społecznego w tych dalekich osiedlach, jak np. sztuki i sportu, wysuwa Benoit na pierwszem miejscu znaczenie tego, co zdziałała i zdziałać może na tem polu Francja.

LITERATURA ZAGRANICĄ

Nowa książka Jacques de Lacretelle p. t. „*L'Amour Nuptial*" porusza cały szereg ciekawych problematów zarówno intelektualnych jak i zmysłowych, w odniesieniu do pożycia małżeńskiego. Z drugiej zaś strony, ponieważ bohater jej — powieść ta jest pisana w pierwszej osobie — sam jest literatem, więc zawiera różne interesujące i subtelne obserwacje literackie. Młoda jego żona Eliza posiada, zdawałoby się, wszelkie zalety, zarówno fizyczne, intelektualne, jak i moralne. Ale im bardziej Eliza będzie doskonałą, tem bardziej jej doskonałość będzie irytowała męża. Wówczas zaś zrodzi się w nim dziwny dualizm uczuć względem swojej żony, polegający na rozróżnieniu zasadniczem uczuć zmysłowych od uczuć moralnych. Ten dualizm spowoduje zresztą potrzebę zniszczenia własnego szczęścia u męża Elizy, aż do chwili, kiedy choroba tej ostatniej, nie pozwalając im na normalne życie małżeńskie, przygłuszy w nim nieprzyjazne wprost względem żony myśli i uczucia. Są one chorobliwe, czy też zmierzają do wykazania, iż istotna jedność myślenia dwóch istot wyklucza ich jedność zmysłową? — Może i jedno i drugie. W każdym razie powieść może podobać się jednym, być krytykowaną przez drugich: zaciekawi ona jednakowoż wszystkich czytelników. Obok bowiem głównej osnowy małżeńskiego dramatu, autor z dużym talentem nakreślił i charaktery drugorzędnych postaci. Przykłada on równocześnie dużą wagę do krajobrazów i wykazuje, jak mogą one często działać na nasze uczucia i zdeterminować nasze czyny.

*

„Zatrzymany zegar" Wandy Miłaszewskiej wyszedł jak wiadomo po francusku u Perin'a w tłumaczeniu p. G. Rosin. Prasa paryska przyjęła piękną tę powieść bardzo gorąco. W „*Européen*" zamieścił obszerne sprawozdanie Francis Ambrière. Pisze on:

„Wanda Miłaszewska posiada artyzm subtelny. Jej utwór przypomina symfonję. Są tam dwa wątki, dwa plany różnorodne, połączone nadzwyczaj umiejętnie...

„Jej powieść psychologiczna jest zarazem studjum obyczajowem wytwornem, pełnem prawdy, nieraz jowialnem, częściej jednak melancholijnem...

„Utwór p. Miłaszewskiej niweczy wiele poglądów szablonowych na Polskę... Tradycja narodowa jest tam jak widać zachowywana ściśle. Wśród ludu zachowują się też cechy patrjarchalne...

„W powieści tej malowniczość stylu nie ugania się za efekciarstwem. Cechą dominującą jest tu szczerość. Skupiony i głęboko humanitarny talent Miłaszewskiej powinien zyskać duży odzew we Francji".

„*La Pologne*" z 1 b. m. zaznacza:

„Oto pierwsza powieść W. Miłaszewskiej w przekładzie francuskim, nie licząc drukowanego latem w „*Journal de Débats*" „Cmentarza i Sadu", który niebawem ukaże się w wydaniu książkowem. „Zatrzymany Zegar" to powieść urocza, pełna wdzięku melancholicznego, w której obrazy obyczajowe zdradzają pokrewieństwo z Dickensem i Al. Daudet'em".

„*Livres et Revues*" pisze:

„W „Zatrzymanym zegarze" znajdujemy charaktery i obyczaje, nacechowane oryginalnością kraju swoistego i epoki odrębnej. Jest tutaj melancholja wspomnień, wywołanych z przeszłości..."

„*La Revue des Auteurs et des livres*":

„Oto śliczna powieść, jedna z najlepszych, jakie się ukazały ostatnio. Zyskała ona rozgłos nieomal powszechny. To powodzenie jest zasłużone, bo autorka posiada bezsprzecznie wszystkie zalety rasowej powieściopisarki. Książka jej jest prawdziwa i smutna jak samo życie".

SZTUKI PLASTYCZNE

METABOLICZNIE...

METABOLA tę ma nad innemi postaciami retoryki przewagę, że nie pisarz nad nią, lecz ona panuje nad pisarzem—i to w ciągu długich pracy okresów, a często poprzez całe jego życie myślące. Wszyscy się powtarzamy, jedno w kółko mówimy w coraz to innych słowach, myślach, wyobrażeniach. Na dnie najmniej oczekiwanej pracy pisarza znajdziemy metabolę, z dawnych jego prac przeniesioną. Proszę nie gorszyć się przeto, że w czasie tak krótkim powtarzam nietylko siebie, ale i przedmiot uwag, w poprzednich tygodniach tu, jak na kole garncarskiem, kręconych. Pragnę je, zresztą, ostatnim zakończyć obrotem, na stary ład i nowy ton,—metabolicznie.

Sztuka i krytyka w stosunku swoim do społeczeństwa tem zasadniczo od siebie się różnią, że siła, powodująca zjawianie się i znikanie sztuki, działa poza obrębem woli ludzkiej, zaś obecność krytyki w społeczeństwie kulturalnem w znacznej mierze leży w granicach świadomej możliwości. W zakresie istnienia lub nieistnienia swego — sztuka jest nieobliczalna, a krytyka może być nieustająca. Sztuka przebywa na poziomach, z których najniższy—jeszcze świadomym wysiłkiem stworzyć się nie daje. Krytyka przebywa na innych poziomach, z których dopiero najwyższe wymykają się z rąk świadomości i odpowiedzialności społecznej. Sztuka bowiem powstaje z ognistego wnętrza ras i narodów, którego istoty, praw i rytmu nie znamy. Krytyka jest rodzajem zastygłej skorupy tego wnętrza, którą możemy w pewnym stopniu według woli swej uprawiać.

Ten właśnie „pewien stopień" jedynie mam na uwadze w swoich przeciwko polskiej krytyce bieżącej wycieczkach polemicznych. Muszę to wyodrębnić i mocno zaznaczyć, że nie winię współczesnej krytyki polskiej za brak wielkich talentów krytycznych, wysokich lotów, głębokich myśli, szerokich widnokręgów. Na tych poziomach krytyka ma w sobie tyle ze sztuki, że istnieje lub nie istnieje poza wolą i odpowiedzialnością człowieka. Można ubolewać, że takiej krytyki niema, ale nie odpowiada za to krytyka bieżąca. Natomiast pełna jej odpowiedzialność zaczyna się na niższych poziomach, tam, gdzie nie talent rozstrzyga, gdzie nie głębia obowiązuje, ale zwykły, prosty chód godności ludzkiej, rozumu, uczciwości i rozsądku. Nie! Nie miałem nigdy zamiaru obarczać krytyki bieżącej wymaganiem, siły jej przerastającem. Dowodem—wszystkie moje przeciw niej zarzuty, które są natury moralnej i dotyczą podstawowych, najprostszych obowiązków krytyki bieżącej.

Mówiłem w szkicu poprzednim o kilku syntezach, których względem sztuki kryptożydowskiej polska krytyka bieżąca zaniedbała, które z tchórzostwa swego ukryła i przemilczała. Do postawienia i oświetlania tych syntez nie potrzeba ani filozofji, ani estetyki, ani głębi rozumowych, ani wyższej gustu kultury. Że dana sztuka jest nie polska, lecz kryptożydowska, że jest bolszewicka i rozkładowa, że nie należy do kultury polskiej: — na postawienie i rozwinięcie tych i tym podobnych syntez wystarczy zwykły rozsądek i zwykła moralność obywatelska. Otóż polskiej krytyce bieżącej ostatniego dziesięciolecia w jej stosunku do sztuki kryptożydowskiej zabrakło tej szczypty uczciwości, która udzieliłaby głosu prostemu rozsądkowi. Polska krytyka bieżąca jest nieuczciwa — oto mój zarzut zasadniczy, oto grunt mojego oskarżenia.

Tu dochodzimy do ciekawej sprawy podziału odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy w dziedzinie sztuki kryptożydowskiej na społeczeństwo polskie. Obawiam się, że ten i ów z czytelników, upoważniony moim tonem gwałtownym, wywnioskował, że ja żydów i ich sztukę prowokatorską winą wobec Polski obarczam. Byłby to mylny wywód. Żydzi—tak samo jawni, jak ukryci—są wrogami narodu polskiego, świadomie przeciw niemu prowadzą wszechstronną wojnę cywilną, a jednocześnie gotują mu uderzenie zbrojne, w postaci rewolucji. Ich wojna cywilna pełna jest podstępów, prowokacji, fałszów, oszustw, wszelkiego rodzaju duchowych gazów trujących. Jedną z ich kolumn szturmowych jest literatura i sztuka. Mają prawo walczyć przeciw Polsce i używać wszelkich, na naszą zgubę, orężów. Byłoby rzeczą w najwyższym stopniu śmieszną obwinianie i oskarżanie wrogów, że tu lub tam odnoszą nad nami zwycięstwo. Winę wobec swoich ponosi tylko ten, kto mógł odeprzeć atak wroga, a nie odparł. A już na hańbę zasłużył ten, kto mógł walczyć, a nie walczył. A na podwójną—ten, kto wroga popiera.

W danym wypadku: kto w ciągu tego dziesięciolecia na odcinku sztuki stał na froncie społeczeństwa polskiego, obowiązany do czujności i znający ten teren? Czy rolnicy nasi? Rzemieślnicy? Urzędnicy? Kupcy? Przemysłowcy? Inżynierzy, lekarze, adwokaci, politycy? Stała krytyka — literacka, teatralna, muzyczna, sztuk plastycznych. O artystach polskich należałoby pomówić kiedy w sprawie tej osobno, bo oni innym nieco warunkom podlegają. Naogół odpowiedzialni są tylko wtedy, gdy z żydami współpracują a i tu uwzględnić trzeba ich przysłowiową naiwność społeczną i polityczną. Zastępem, na froncie sztuki całkowicie odpowiedzialnym, bo świadomym, jest krytyka. Ograniczając się do zakresu naszego tematu, zapytajmy, co mianowicie polska krytyka literacka i malarska, zwłaszcza stołeczna, czyniła wobec słynnego, od dziesięciu lat najazdu na Polskę sztuki i krytyki żydowskiej, prowokacyjnie polskość udającej? Albo milczała, albo się do żydów łasiła, albo wręcz o nich przeciw nielicznej opozycji, nędzne swe kopje kruszyła. I stan ten, z małem polepszeniem trwa do dnia dzisiejszego.

Może istnieją tu jakie okoliczności łagodzące? Może krytyka polska była odurzona, oczarowana, ujarzmiona szlachetnością i genjalnością sztuki kryptożydowskiej? No, nie! O tak daleko posuniętą ciemnotę nie można jej posądzać... Sztuka kryptożydowska zbyt jawnie była i jest chamska, a nawet—programowo, ostentacyjnie chamskość swoją na czerwono-czarnym sztandarze wypisała. Od pierwszej chwili p. Ajzyk Słonimski, jak tylko z Pikadora wylazł (wszyscy oni ród swój wiodą z Zielonych Baloników, Momusów, Pikadorkw i Kwiprokwoków), piał w stronę Polakow: „Twarze wam męczyć! Pyski prać! Byście poznali już, psia mać!—co to prawdziwa jest kultura!" Należy przypuszczać, że krytyka polska odrazu poznała się na takiej „kulturze". Ale wi-

docznie w odwadze jej bardzo mokro się zrobiło, a gdy p. Ajzyk skończył okrzykiem „*Salve*, Lenin!" — było po wszystkiem... No, tak! Nic innego tylko tchórzostwo trzeba postawić na czele protoplastów tej krytyki. Powiedziałem o niej: „nieuczciwa"—? To zawiele! To zbyt górnie! Zbyt zaszczytnie!

Od tej chwili żydzi mogli sobie pozwalać na wszystko Ohyda, płaskość, plugawość obrazów, oszczerstwa i plucia na Polaków i polskość, apologja i propaganda bolszewizmu, wszywanie smrodu swego w królewski płaszcz polskiego Króla-Ducha, podszywanie parszywego paskudztwa swego pod imię polskiej kultury, błazeńska zabawa z postacią św. Franciszka z Assyżu, pochody chederowych szajgeców do katedr katolickich, kończone nazajutrz małpim cynizmem publicznych onanizmów, Majakowscy, Ehrenburgi, Barcze, Palmiry, Lenory, klozetyzmy, abortyzmy, kloakizmy, pisuaryzmy, i znów— Conrady, Sienkiewicze, Mickiewicze, i znów apologje Leninów, Azefów, Einsteinów... krytyka polska przed całym tym beth-hamidraszem poważnie głowę skłaniała, pochwały bąkała, nagrody państwowe „nowym prądom" w Lenorach przyznawała i uznawała, a w chwilach najwyższego przypływu swej odwagi — milczała. Skutek społeczny jest ten, że żydzi rynkiem prasy, wydawnictw i opinji polskiej zawładnęli, wielu artystów polskich do swych robót wciągnęli zagranicą sztukę polską uosami swemi reprezentują, a w kraju, w roli artystów i krytyków tak się rozplenili, że dzisiaj kroku stąpnąć nie można, żeby w żyda nie wdepnąć.

Gdziekolwiek tkwią przyczyny bolszewizmu, żydzi są jego rozsadnikami, ale wina za szerzenie się bolszewizmu spada całkowicie na inteligencję danego narodu. Tę prawdę bezpośrednio poznałem w latach 1917 i 18 w Rosji, a teraz ją poraz drugi, w węższym zakresie, studjuję na literaturze i sztuce polskiej ostatniego dziesięciolecia. Gdyby krytyka polska od pierwszej chwili żydowskiego na sztukę i kulturę polską najazdu mocno żydom się przeciwstawiła, bezustannie ich zwalczała, na ich obcość i wrogość wskazywała, każdy ich krok „pod światło" brała, mogłaby w imieniu społeczeństwa polskiego zwyciężyć, a w każdym razie wyszłaby z walki z honorem i chwałą. A jakże łatwo było porwać za sobą publiczność, opinję i społeczność polską! Przecież ta nędzna sztuka kryptożydowska dzień w dzień tyle przeciwko sobie dowodów dostarczała, że i dla stu krytyków polskich było wbród materjału do jej w oczach opinji demaskowania, pobijania i zabójczego ośmieszania. Można było nawet nie sięgać do trudnej dla czytelnika (a może i dla krytyka...) estetyki Wystarczyłaby jasność umysłu, zdrowy sąd, obywatelska moralność, ludzka uczciwość... Gdyby znalazło się dziesięciu rzetelnych krytyków polskich w stolicy, gdyby pięciu, gdyby trzech! Nie znalazło się nawet dwóch...

A był to czas wielkiego dla Polski zdarzenia: pomiedzy dwoma — od Wschodu i Zachodu — pożarami powstawało państwo polskie. Był to czas powszechnej w kraju niewymiernej radości, a zarazem straszliwego po wojnie światowej zmęczenia i umęczenia. Był to czas niesłychanego zamętu społecznego i politycznego, a zarazem — grozy śmiertelnej z powodu najazdu Rosji bolszewickiej, czas w którym „muzy umilkły", gdy grały armaty. Położenie to wykorzystali żydzi dla siebie. Gdy młodzież polska krwią na polach bitew broczyła, banda parszywców w Pikadorze „zadekowanych" zajęła jej czasopismo „*Pro Arte et Studio*" i tym szwindlem uzurpatorskim wzbogacona narzuciła się Warszawie, jako młoda sztuka polska — „powojenna". Na wzór Sowdepji zaczęła natychmiast uprawę pornografji, b lszewizmu i wszelkiego rodzaju podstępnych łajdactw żydowskich, trąbiąc jednocześnie, że to nowe pokolenie polskie nową sztukę tworzy, sztukę „godną wielkich tradycyj polskich". Nie było wówczas, nie mogło być w Polsce artystów polskich w dość silne grupy zorganizowanych, ażeby się temu szubrawstwu przeciwstawić.

Wszyscy jeszcze byli w rozproszeniu — na frontach, w pracach społecznych, zagranicą, na wygnaniu — i t. d. Rzecby można że sztuka polska była nieobecna niemal, jakoby nie istniała, co jednak kulturze narodu ujmy nie przynosi. Kilkoletnie, ba! nawet dziesiątki lat trwające pauzy w sztuce zależą, jak to na wstępie zaznaczyłem, od sił biologicznych, tajemniczych, wolą ludzką nie kierowanych. O tem krytyka polska powinna była wiedzieć. Tak więc tylko *ghetto* było na miejscu, nienaruszone, zorganizowane, interesów swych pilnujące. Społeczeństwo polskie pozostawało wtedy w stanie tak silnej gorączki w najżywotniejszych sprawach publicznych, że nie mogło samo zorjentować się, co tam dzieje się „na Parnasie". Wtedy to podwójny, potrójny, dziesięćkrotnie i stokrotnie pomnożony obowiązek moralny, społeczny, patrjotyczny i artystyczny miała będąca na miejscu krytyka polska, aby ogół swój od oszustwa żydowskiego ochronić.

I cóż uczyniła? Padła na twarz przed objawionym w kloakizmie Jehową. Podle przed tuwimami *ghetta* na brzuchu pełzała. Wersalsko umorusanym purycom chederów się kłaniała. Przymilnie wzgardliwą ślinę ich splunięć z policzków swych obcierała. Bezczelnej szajce bolszewickich „artystów" — *evoe!* i *hosanna!* krzyczała. Razem z nią naród własny oszukiwała, na rzeź rytualną go wiodła, w kałużę świńską wpychała. W końcu umilkła, błoto oportunizmu swego przeżuwając, w zacisznej swej „rehabilitacji". Basta!

Niechże ta krytyka rozejrzy się teraz uważnie dokoła i popatrzy na szkody liczne, jako na dzieło własnego tchórzostwa. Już dla niej zapóźno, zresztą. Powinna odejść. Ale ona nawet odejść nie umie. Nawykła do żydowskich drwin ze siebie i kopnięć, czeka, aż ją i z polskiego obozu dobre kopnięcie za drzwi wyrzuci. Odrazę tylko budzi i pogardę. Niechże idzie do czarta, żeby można było raz nareszcie o niej zapomnieć!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SPROSTOWANIE. W poprzednim szkicu p. t. „Syntezy", na stronicy 94, w łamie pierwszym, wiersz 16 od dołu wkradł się złośliwy błąd drukarski. Wydrukowano mylnie: „plotka" zamiast — „polska". Należy przeto czytać: „Trzecia synteza, że tego rodzaju sztuka, podawana jako polska..." i t. d.

NOWE KSIĄŻKI

Perzyński Wł. Złoty interes. Powieść, wyd. II. Geb. i Wolff.

Nałkowska Zofja. Książę. Powieści, wyd. III. Geb. i Wolff.

Grabski Stanisław. Prof. un. Państwo narodowe. Lwów 1930. Igiel.

Mayor Józef. Wesoła zabawka, czyli Bajki Sanacyjne. Warsz. 1930. „Żółta Mucha".

Botanika III. (Dzieło zbiorowe. Uzupełnienia). Poradnik dla samouków t. VIII. Warsz. 1929. Kasa im. Mianowskiego. Str. XII i 440.

Pamiętnik Warszawski. 1929. zesz. 4.

Przegląd Współczesny. Kraków. Styczeń 1930.

Przegląd Powszechny. Kraków. Styczeń 1930.

Literaturno-naukowij Wistnik. Tarnopol, styczeń 1930.

Jalu Kurek. Śpiewy o Rzeczypospolitej. Poezje. (Krak. 1930). Dom książki polskiej.

Wolert Władysław. Docent Wol. Wszech. pol. Demokracja i kultura. Praca oświatowa zagranicą. Warsz. 1930. Nakładem Związku Spółdz. spożywców Str. 730 (Cena zł. 30).

Nakładem Krakowskjej Spółki Wydawniczej wyszły:

Borowy Wacław. Gilbert Keith Chesterton. Str. 328.

Windakiewicz Stan. Jan Kochanowski. Str. 198.

Xenofont Symposion oraz wybór pism. Przełożył i opracował Artur Rappaport. Bibl. Nar., str. 39.

Żmichowska Narcyza. Poganka. Opracował Boy-Żeleński. Bibl. Nar., str. 121.

Mickiewicz Adam. „Pan Tadeusz". Opracował St. Pigoń. Bibl. Nar., str. 283.

OFENSYWA

PIERROT NIEZNANY

NAWET boski Dodik ma w literaturze francuskiej kilku pisarzy semickiego pochodzenia, których konsekwentnie i stale w pismach i artykułach swoich protegował. Faworytami E. Daudeta jest nietylko Halévy, nie tylko Benda, nie tylko odkryty przezeń Proust, ale nawet... Bernstein; w tym wypadku tolerancja poszła zdaje się cokolwiek zadaleko. Ale Daudetowi i z tem do twarzy, jak również z częstem apoteozowaniem tak wrednie genjalnej figury, jak Disraeli of Beaconsfield. Wypominał mu to zresztą często i gwałtownie nieprzejednany i integralny pogromca wszystkiego, co nie aryjskie, twardokościsty Urban Gohier.

Gdyby u nas nie było tak codziennie narastającej nie już inwazji, ale infiltracji i penetracji Semitów w piśmiennictwie, miałoby się często ochotę i rację wychwalić któregoś z wyjątkowo uzdolnionych Machabejów, szczególnie jako dodatnie przeciwstawienie Arjów zżydziałych w 90-tym procencie, lub co częściej, bardziej żydowskich od samych Żydów (Boy z *anno* 1929—30). Jakże często teraz nadarza się okazja uzgadniania się z poglądami takiego nawet stuprocentowego, obolałego ale prostolinijnego Słonimera, a jak dalej rzadko bez obrzydzenia można dziś czytać tego zachrypniętego (*anno* 1929—30) Boya, odwalającego u nas tę samą „ideową“ robotę, którą w Niemczech, w Sowietach, w Ameryce, w Anglji dokonywają programowo rasowe, dziedziczne Semitony. Weźmy ot pierwszy przykład z brzegu: ustosunkowanie się recenzorów do filigranowej idylli Miłaszewskiego. Z jakąż to wściekłą, zapienioną brutalnością rzuciły się na „Bal w Obłokach“ *championy* brukowców i międzynarogówek prasowych! Jak zacharkali na sam widok „znowu“ dworku polskiego Arystarchonie z „Expressiaka“ i „Poranniaka“, podczas, gdy np. p. Jakób Appenszlak („Pierrot nieznany“) pisał:

„W świecie, do którego prowadzi nas autor — odpoczywa się naprawdę. Cóż z tego, że ten świat zdemaskować można, jako fikcję, skoro fikcja jest piękna, skoro znajdujemy w niej tyle walorów prawdziwej poezji, tyle bogatych motywów mistrzowskiej formy i upajającej wizji Czarem miłości romantycznej tchnie obraz, gdy zakochani przez okno salonu wyskakują do ogrodu, aby ukryć się przed ludźmi w gęstwie drzew, osrebrzonych światłem księżycowem. W tem, co panna Ludka mówi o zapachu kwiatów — są klejnoty poezji. Skrzy się dowcip w strofach, zamykających poszczególne okresy djalogów, przewija się zręcznie lekki, delikatny żart w noc tańca i zabawy, zimnem, fosforycznem lśnieniem przebłyskuje tu i owdzie ironja, żywość i werwa tętni w każdej prawie scenie. Dla teatru i dla literatury komedja p. Miłaszewskiego — bezsprzecznie cenny stanowi nabytek“.

Tak pisał p. Appenszlak w syjonistycznym „Naszym Przeglądzie“. I nie pierwszy to już raz ten szczery i zapalny nacjonalista żydowski w podobnie spokojny a przyzwoity sposób ujmuje literackie zjawiska polskich autorów.

Dlatego pozwolimy sobie na tem miejscu, gdzie tylokrotnie narzeka się i wygraża, specjalnie żydowskim publicystom, tym razem *suum cuique*, Pana Appenszlaka szczerego tradycjonalistę żydowskiego dworek polski nie tylko nie doprowadza do takiej wścieklizny, jak Boya, ale wprost przeciwnie, odnosi się on doń z właściwym u człowieka kulturalnego respektem. W osądach sztuki i Sztuki wogóle nie poddaje się takiemu zoologicznemu partyjnictwu, jak tamte prostaki. Trzeba to umieć dostrzec i uszanować i nie zatajać satysfakcji, jaką sprawiać musi swym czytelnikom ten najwytrawniejszy i najwykwintniejszy wśród krytyków żydowskich koneser teatru, literatury i literatury w Teatrze.

JELLENTA NAGRODZONA

SPODLENIE starcze Eunuchima Hirszbanda zostaje obecnie nagrodzone, jak można sowicie. Broszura „estety“, który dał się kupić za niewielki fundusz gadzinowy dla obrony ekskrementalizmu werbalnego i koprofagji, ma być tłumaczona na kilka języków. Żydowina znana tylko nad Wisłą i Wieprzem, staje się na ostatnie lata „sławą“ jako podpora dyktatury. Sześćdziesiąt lat Jellenter był tylko kawiarnianą pflancą, *conferencier*'em o Sztuce, *essay*'istą, gadaczem i zapoznaną miernotą. Obecnie i jemu zaświeciło u schyłku słoneczko. Coprawda tak blade słońce *tabes dorsalis* nie ogrzeje i nie usunie. W każdym razie Jellenter jest teraz figurą „sanacyjną“, zapraszany na Zamek i do Rodziny Wojskowej, fraternizuje ze szwoleżerami, „Biuro Wiedzy Historyczno-Wojskowej“ (gen Stachiewicz) uważa go za renomowanego serjo pisarza, a kiedy przyjeżdża prezydent „Sardanji“, Jellenter przez trzy dni w starym fraku paraduje wszędzie razem z Zyndramem, Hołupką, Evertami, Lednickim i t. p. towarzyskiem podśmietaniem stolicy.

Teraz dopiero mogliśmy się przekonać, jaką to stuprocentową rację miał swego czasu Mirjam i grupa „Chimery“, kiedy zawsze i konsekwentnie bagatelizując nasze sprzeciwy, traktowali Jellentę i jego „Ateneum“ za literacki *bluff* i szwindel. Maluczko, a Cezary Napoleon Jellenta dostanie i ordery: estoński, łotewski, gruziński i albański. Pomimo tego nie sposób, wychodząc z jego postawy moralnej i estetycznej dzisiejszej, nie traktować całego jego „dorobku“ pisarskiego nie tylko za tandetę, ale także za fałszowany paradoks. Esteta robiący karjerę na apoteozowaniu koprolalji. Guanofag.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Co roku teraz powtarza się z okazji uchwalania budżetu państwowego obrzydliwy widok żebraniny, aby coś dorzucić na fundusz bez kontroli do dyspozycji „sanacji“. „Sanacja“, obsługująca państwo, wyciąga rękę po napiwek: dajcie prywatnie jeszcze grosz (miljon — dwa). Wymyślono sobie nazwę napiwku: „na walkę ze szpiegostwem“. Zorganizowano kwestę w całym kraju, zachęcając do niej nawet organizacje sportowe, zapewne obietnicą zapomogi. Więc — taka „Lechja“ lwowska ogłasza w dziennikach sanacyjnych: „W dniu 11 listopada 1929 wręczono panu marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, Wskrzesicielowi naszej Ojczyzny i Jej wielkiej Armji, Wybawcy naszemu z pęt niewoli — miljon złotych „na walkę ze szpiegostwem“. Drugi raz tyle i więcej jest mu jeszcze potrzebne do dotychczasowej walki z największym wrogiem — szpiegiem. Sportowcy — my nie możemy — nie wolno nam pozostawać w tyle, gdy całe społeczeństwo polskie biegnie do mety — musimy i my stanąć na starcie i nie dać się wyprzedzić“.

Pretekst zbiórki doskonale pomysłowy — każdy inny fundusz mógłby ulec kontroli. Gruba to nieprzyzwoitość, że się pozwala tak firmować akcję żarłocznej grupy, nękającej zbiedzone społeczeństwo, która składa na potrzeby państwa tak ofiarnie trzy miljardy rocznie. Jeszcze trzeba miljona i to najpilniejsza potrzeba — akurat na fundusz bez kontroli.

*

Krąży anegdota, jakoby jeden z wysokich dygnitarzy dzisiejszych miał niedawno zwrócić się do jednego z przywódców obozu narodowego:

— Pan, ze swemi zdolnościami i wiedzą — mówił — gdyby tylko zechciał wyrzec się jałowej opozycji, mógłby łatwo zrobić u nas świetną karjerę, uzyskać tekę ministerjalną, korzyści, wpływy...

— Ha, niestety, — usłyszał odpowiedź — ja pomimo tak świetnych propozycyj nie wyrzeknę się już swoich przekonań. Dziad mój był narodowcem, ojciec był narodowcem, więc i ja...

— Tak nie można przecież rozumować — odparł dygnitarz. — A cóżby pan wobec tego uczynił, jeżeliby np. dziad pański był złodziejem, ojciec — złodziejem...

— W takim razie to co innego, — przerwał narodowiec, — w takim razie byłbym „sanatorem“...

*

Mówiąc o wpływie wychowawczym p. Juljusza Kaden-Bandrowskiego na młode pokolenie, p. minister oświaty Czerwiński oświadczył, iż wartość wpływu wspomnianego pisarza zależeć będzie zawsze od tego, czy młodzież „interesować się będzie człowiekiem jako całą postacią wraz z jej górnemi wzlotami, czy tylko jego dolną częścią, od przepony brzusznej począwszy“...

Trudno mówić o badaniu „całej postaci“, jeżeli właśnie jedynie jej „dolne części“, poniżej przepony brzusznej, uporczywie p. Kaden-Bandrowski odsłania. Ale też tem tłumaczy się zjawisko, że młodzież wogóle nie chce p. Kaden-Bandrowskiego oglądać.

*

Dzienniki sanacyjne niesłychanie są poruszone faktem, że w Paryżu zginął w biały dzień generał Kutiepow. Są przekonani, że porwali go i zamordowali bolszewicy. Kutiepow ich zwalczał, był dla nich niebezpieczny. Porwano go na ulicy, zginął bez śladu...

— Czy widział kto coś podobnego w świecie cywilizowanym?

TREŚĆ: Strzały w próżnię *Z. Stahla.* — Racjonalne—irracjonalne *K. L. Konińskiego.* — Abel *A. Nowaczyńskiego.* — Wiersze leśne *J. Ejsmonda.* — Na widowni *Digammy.* — Głosy: W rocznicę odzyskania morza. — Wychowanie narodowe *S. Ż.* — Sztuki plastyczne *St. Pieńkowskiego.* — Nowe książki. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.